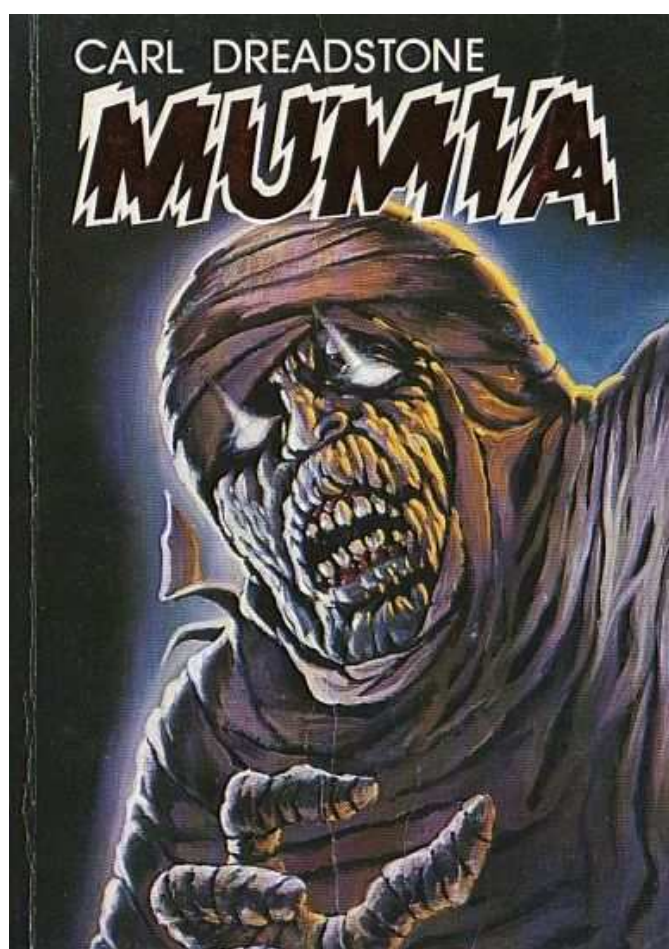


CARL DREADSTONE

MUMIA

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE MUMMY
PRZEKŁAD: CEZARY KMIETOWICZ



DOM WYDAWNICZY „LIMBUS” SP. Z O. O. BYDGOSZCZ 1992

Wstęp

Nie ulega wątpliwości, że jest to po prostu najlepszy film w swoim rodzaju, chociaż znacznie wcześniej miał bardzo poważnego konkurenta w postaci obrazu z 1901 roku pt. „Sklep niesamowitych osobliwości”, nakręconego przez brytyjskiego reżysera Waltera R. Bootha. W filmie Bootha także pokazano widzom mumię i to nie tylko powracającą do życia, ale rozsypującą się później w proch na oczach tychże widzów. Było to bardzo dawno temu, jeszcze w epoce kina niemego. Natomiast „Mumia”, oryginalna produkcja wytwórni UNIVERSAL została okrzyknięta przez prestiżowy LOS ANGELES TIMES najbardziej niezwykłą produkcją filmową, jaka powstała kiedykolwiek, przewyższając zdecydowanie wszelkie późniejsze imitacje, kontynuacje czy produkcje określane terminem „remake”. Oczywiście była to ekranizacja najlepsza w swoim rodzaju — w wielce barwnym filmowym rodzaju opowiadającym o przerażających konsekwencjach odkryć archeologicznych.

W przypadku „Mumii” temat ten znalazł się w rękach doświadczonych specjalistów. Scenariusz został napisany przez Johna L. Balderstona, który wcześniej miał już na koncie adaptację „Drakuli” dla jednej ze scen broadwayowskich, a także pracował dla UNIVERSALU przy filmie „Frankenstein i tajemniczy dom”. W zależności od punktu widzenia, ta filmowa opowieść była bardziej, lub mniej niż tylko zwykłym horrorem: była romanssem o reinkarnacji, była swoistą mieszaniną opowieści miłosnej i okultystycznej — bardzo popularnej na łamach WEIRD TALES, lidera wśród królujących w swoim czasie na rynku prasowych tzw. „pulp” magazynów. We wcześniejszych inkarnacjach tej filmowej opowieści bohaterka pojawiała się nie tylko jako księżniczka egipska, ale starożytna chrześcijanka, księżniczka średniowieczna, arystokratka z możnego rodu Wikingów, bądź francuska szlachcianka. Zresztą do dzisiaj ten, tak zwany, romans o reinkarnacji pojawia się w najrozmaitszych, trudnych tutaj do wymienienia wariacjach.

„Mumia”, podobnie jak najlepsze historie z gatunku „pulp”, korzysta z pewnych wartości właściwych dla melodramatu. I chyba żaden film poza „Mumią” nie osiągnął klimatu charakterystycznego dla opowieści zamieszczanych na łamach WEIRD TALES.

Oczywiście Boris Karloff zasługuje na szczególne wyróżnienie. Jego Egipcjanin „nie z tego świata” jest sugestywnie przekonujący. Jednym z powodów, dla których stał się najbardziej uwielbianą gwiazdą horrorów była jego wrodzona łagodność — cecha, którą można było dostrzec w wielce tragicznej roli monstrum Frankensteinia. Nie wyklucza to zarazem, że gdy musiał, potrafił przeobrazić się w najbardziej szatańską istotę jaką można było sobie tylko wyobrazić (można tu wspomnieć o takich filmach jak „Maska Fu Manchu”, czy nieprzeciętny „Czarny Kot” z 1934 roku). W „Mumii”, podobnie jak i we „Frankensteinie”, aktor gra w dużej mierze oczyma, które mówią nie tylko o jego nieludzkiej mocy, lecz także dają wyraz nieskończonemu cierpieniu, które stanowiło genezę wiszącego nad postacią koszmarnego fatalizmu.

Bez wątpienia charakteryzacja była niezwykle pomocna w tym teatrze oczu. Dzięki specjalnie zastosowanym kosmetykom uzyskano niezwykle sugestywnie wyglądające zmarszczki na twarzy, zarazem prawie zupełnie uniemożliwiające wykonanie najmniejszego grymasu, co z kolei miało konsekwencje w niezwykłym tonie, jakim aktor wypowiadał swoje kwestie. Wszystko to razem składało się na niesamowity efekt jakiegoś przerażającego zombie — wędrującej śmierci. Ta dziwna charakteryzacja służyła aktorowi przez prawie cały film. Tylko w początkowych scenach Karloff grał w jeszcze mniej, chyba nawet najmniej komfortowej charakteryzacji w całej swojej karierze — była to charakteryzacja, na którą składały się przede wszystkim bandaże. Całe jego ciało było owinięte przegniłymi, podartymi bandażami, nato-

miast twarz pokryta jakimś bawełniano-gumowym „klejem” i pociągnięta niebiesko-zieloną farbą (dawało to, podobnie jak w przypadku postaci Frankensteina, efekt ponurej szarości). Karloff powiedział, że czuł się tak jakby miał „gipsową skórę”. Nie znaczyło to wcale, że się kiedykolwiek skarżył na to co wymyślił taki mistrz sztuki charakteryzowania jakim był Jack Pierce. Podobnie zresztą Lon Chaney tolerował wszelkie pomysły Pierce'a.

Był to jedyny film z całej serii, w którym pojawił się Karloff. Co prawda fragmenty „Mumii” z jego udziałem wykorzystywano w dalszych częściach tego niesamowitego archeologicznego serialu, ale do tych sequeli aktor nie był już angażowany osobiście. W pierwszym z takich sequeli pt. „Ręka mumii” Karloffa zastąpił Tom Tyler. Ale Karloff nadal pozostawał gwiazdą numer jeden horroru. Wprawdzie zdarzyło się w tym czasie małe zachwianie kariery, kiedy to po początkowym ogłoszeniu o powierzeniu mu głównej roli w „Niewidzialnym człowieku” Jamesa Whale'a, do roli tej zaangażowano w końcu Claude Rainsa, ale Karloff szybko „odbił” sobie tę stratę i wrócił do Anglii, gdzie zagrał w obrazie pt. „Upiór”.

Reżyser „Mumii” Karl Freund, także należał do specjalistów wysokiej klasy. Właściwie to był kamerzystą, który wstawił się znakomitą pracą kamery w „Ostatnim śmiechu” (wybitnym filmie niemieckiego kina niemego, w reżyserii Murnaua). Robił też zdjęcia do słynnej filmowej alegorii science fiction Fritza Langa pt. „Metropolis”, do innego niemieckiego filmu niemego — „Golema”, a także do „Drakuli” z Belą Lugosim.

Chociaż kariera Freund'a jako reżysera horrorów była raczej krótka — nakręcił jeszcze tylko jeden film, „Szaloną miłość” z Peterem Lorre — ale dzięki jego inwencji, głównie jako wybitnego kamerzysty, jego filmy stały się słynne i przeszły do historii kina. Pokazany w „Mumii” Egipt zdaje się być dla widzów nadszpodziewanie prawdziwy — w każdym bądź razie znacznie bardziej prawdziwy niż w większości innych produkcji hollywoodzkich. Talent Freund'a przejawiał się także w tym, co było nieczęsto spotykane wśród twórców horrorów, że potrafił tworzyć nastrój grozy nie tylko tym co ukryte, niepokazane, ale także tym co pokazywał bezpośrednio okiem kamery. Jest to szczególnie widoczne w najstynniejszej scenie filmu, mianowicie chwili ożywiania mumii. Scena przeszła do historii kina, jako jedna z tych, które przyprawiły widzów o największą dawkę dreszczy. Piorunujący efekt osiągnął Freund dzięki ukazaniu wolno otwierających się i poruszających oczu mumii. Podobny efekt, też dzięki uniknięciu filmowej dosłowności osiągnął w scenie wyjścia mumii z sarkofagu, kiedy jej ruch został zasygnalizowany jedynie przesuwaniem się po, podłodze wstęgi wyblakłego bandaża.

W drugim sequelu, pod tytułem „Grobowiec mumii”, ekipie realizacyjnej nie udało się wznieść ponad poziom pierwszego filmu, chociaż efekt końcowy został nawet uznany za całkiem satysfakcjonujący, mimo sporych kłopotów podczas realizacji tego obrazu (Lon Chaney, odtwórca głównej roli cierpiał na alergię na tle tej nietypowej bawełniano-gumowej charakteryzacji). Ale nawet gdyby wszystko podczas realizacji przebiegało bez problemów to i tak pierwowzór był poza zasięgiem ekipy realizacyjnej. Po prostu tak się złożyło w przypadku „Mumii”, co było raczej nietypowe dla horrorów UNIVERSALU, że nad filmem pracował doświadczony i zarazem utalentowany zespół.

Ramsey Campbell

Rozdział pierwszy

Muller wiedział. Już zanim otworzyli wieko, wiedział, że to było to. To, co w wieku pięćdziesięciu pięciu lat przywiodło go na pustynię, razem z Whemplem i chłopakiem. To co trzymało go w gorącym piasku pustyni przez trzynaście godzin każdego dnia, i pozwalało wytrwać w namiocie, gdzie nawet po zachodzie słońca koszula przyklejała mu się do pleców, kiedy pracował. To było coś wyjątkowego. Nie był to żaden skarb świątynny, ani kolekcja klejnotów, do której publiczność będzie stała w długiej kolejce przed muzeum nawet podczas dżdżystego dnia. To było coś nie dla Whemple'a i nie dla Muzeum Brytyjskiego, które wysłało ich na tę ekspedycję. To było coś wyłącznie dla niego, tak jakby na wieku zostało wyryte jego imię. Znaleźli grobowiec. Nie był jednak w rodzaju tych ze schodami prowadzącymi do przedsionka i sali sarkofagowej, z kaplicami wypełnionymi różnego rodzaju drogocennymi zabawkami, mającymi zaspokoić wszelkie potrzeby duszy w zaświatach. Nie była to krypta z ołtarzem i stellami czy kwarcytowym sarkofagiem o wieku z różowego granitu, zawierającym we wnętrzu zestaw trumien z litego złota. Było to miejsce o wiele bardziej niepozorne — wypełniona piaskiem dziura.

I była w niej antropoidalnego kształtu trumna ze zwykłego drewna oraz skrzynia, także drewniana.

Dwie godziny wcześniej, o zachodzie słońca, we trzech wyciągnęli z piasku trumnę i skrzynię. Norton, który był młody i świeżo po ukończeniu college'u, pracował najwięcej. Muller i Whemple pomagali mu taszczyć pudło do namiotu. I właśnie wtedy, jeśli by się przyjrzeni uważnie, mogli dojrzeć prawie zupełnie już zatarte inskrypcje, wyryte na wieku drewnianego sarkofagu.

Muller odczuł „to”, zanim jeszcze zaczęli sprawdzać uszkodzenia na wieku. Uczucie było trudne do określenia, lecz wystarczająco intensywne, by przeszyły go dreszcze. Być może, to miejsce pochówku ostrzegało. Ale nie wyjaśniało w żaden sposób, dlaczego on, będąc tylko jednym z członków ekspedycji Muzeum Brytyjskiego, właściwie od razu tu trafił. On, okultysta. W żaden sposób nie był w stanie wytłumaczyć Whemple'owi, czym się kierował, przybывая właśnie w to miejsce. Sam tego nie rozumiał. Czy zostało mu wyznaczone jakieś zadanie do wykonania? Może obarczono go jakimś jeszcze nieznanym obowiązkiem? Cokolwiek jednak miałyby to być, Muller bał się. Przez moment odebrał jakiś ledwo wyczuwalny impuls nakazujący mu zamknięcie trumny i zasypianie jej piaskiem, kiedy tylko zostanie sam. Czy Muller — śmiertelny, słaby, przestraszony człowiek — zasypie obie skrzynie? Czy też inny Muller — poszukiwacz prawdy, szaman i mistyk — otworzy je?

Ale pierwsze z pytań postawione zostało niepotrzebnie, ponieważ trójka odkrywców nie zamierzała zakopać skrzyń. Sprawdzili uważnie wieko trumny, na którym widniała inskrypcja: **IMHOTEP, NAJWYŻSZY KAPŁAN ŚWIĄTYNI SŁONCA W KARNAKU**. Spostrzegli żłobienia w miejscu, gdzie powinien znajdować się diadem kapłański i insygnia urzędu. W chwilę później otworzyli trumnę. Wyjęli mumię. Na twarzy nie miała żadnej maski pośmiertnej ze złota, nie było klejnotów. Tylko zawinięte w bandażę ciało... ale za to ciało najwyższego kapłana. Lecz, jak zauważył Norton, jakby ta wysoka funkcja nie miała żadnego wpływu na rodzaj pochówku. Tak, Muller pomyślał to samo. Najwyższy kapłan spoczywał w ascetycznym, nieoznakowanym grobie. Ale jeśli ma się instynkt, pomyślał Muller, odwijając bandażę, wie się z góry, co się znajdzie.

Pożółkła tkanina odchodziła niczym martwa skóra. Była sucha i łamliwa. Muller odwił bandaż począwszy od głowy tak, jakby dokonywał zwierciadlanej wersji zawijania. Dopiero, gdy twarz została całkowicie odsłonięta cofnął się, żeby tamci dwaj mogli na nią spojrzeć.

— Niesamowity gość — rzucił Norton. Whemple z kolei aż jęknął z wrażenia.

Głowa odznaczała się wysoko sklepioną czaszką i cała była wygolona. Skóra miała odcień szarobrazowy, była krucha; występowały na niej liczne spękania. Oczy, co raczej niezwykle dla mumii, były częściowo otwarte. Natomiast część chrząstkowa jakby jastrzębiego nosa została w znacznym stopniu spłaszczona na skutek ściśnięcia bandażem. Sama głowa była lekko zwrócona w jedną stronę, wargi rozchylone, odkrywające dziąsła i zęby. Wszystko to składało się na wrażenie jakiegoś niepokojącego, acz groteskowego w wymowie grymasu. Doktor Muller wsunął ostrożnie wąski drut w nozdrza mumii, żeby znaleźć fragmenty zwoju bandaża, jaki, zgodnie ze sztuką mumifikacji, powinien znajdować się w głębi. Pokręcił głową ze zdumienia, kiedy niczego nie znalazł. To był pierwszy z dwóch testów. Drugi wymagał przecięcia bandażu w okolicy brzucha.

* * *

Sir Joseph Whemple czuł wyraźnie niecierpliwość Nortona i dziwną ekscytację Mullera — która była intensywniejsza, mimo że Norton siedział tuż obok niego przy małym stoliku, znacząc skorupy — natomiast doktor Muller znajdował się w przeciwnym krańcu namiotu, mżoląc się nad rozcinaniem zwojów bandażu na brzuchu mumii. Whemple rozumiał dobrze przyczyny ich podekscytowania. Zdał sobie sprawę, że ma właśnie do czynienia ze swoistym paradoksem, o jakim dowiedział się dwadzieścia jeden lat wcześniej, kiedy to rozpoczynało się nowe stulecie i zaczynała jego kariera archeologa. Paradoks polega na tym, że tak naprawdę na sukcesy w archeologii mogą liczyć jedynie badacze w średnim wieku; podczas tych kilku najbardziej owocnych lat, kiedy istnieje stan swego rodzaju równowagi między, z jednej strony, właściwą dla młodych absolwentów uniwersytetów ostrożnością, często nadmierną, a wynikającą z obawy przed ośmieszeniem się niewłaściwą interpretacją wyników badań, i z drugiej strony, łapczywością charakterystyczną dla starszych wiekiem, w wykorzystaniu do maksimum bezlitośnie upływającego czasu. Whemple wiedział, że po kolejnych pięciu, sześciu sezonach nie będzie już na tyle żywotny, by sprawnie kierować pracami pod gołym niebem. Muller już przekroczył tę granicę. Natomiast Norton, z natury energiczny i porywczy, nie zawsze był w stanie utrzymać na wodzy swój temperament. Dlatego też Whemple próbował narzucić mu swego rodzaju dyscyplinę, zmuszając do uważnego, metodycznego oznaczania wszelkich skorup w kolejności ich znajdowania. Norton nie stanowił dla Whemple'a tajemnicy. Muller przeciwnie, wzbudzał w nim niepokój i teraz i zawsze w przeszłości. Była to postać niemożliwa do określenia, osobliwa hybryda wysublimowania i prymitywizmu, szarlatanerii i racjonalizmu. Muller był doktorem medycyny, ale zgłębiał także tajniki okultyzmu. Ten mężczyzna, podobnie jak jego wielki poprzednik Kartezjusz, był posiadaczem cudoownego, analitycznego umysłu, ale mimo to wołał zdawać się na instynkt. I to było przyczyną, że Muller zawsze i wszędzie wprowadzał niepokój. Jego dziwny, tajemniczy umysł bywał źródłem publicznego zaambarasowania, podobnie jak wtedy, gdy pojawiał się ktoś pijany, bądź nieprzyjemnie pachnący. Wielcy filozofowie starożytności musieli mieć umysły w pewnym stopniu podobne do umysłu Mullera, pomyślał Whemple, oznaczając jakiś drobny kawałek alabastru: Platon, Tales, Hipokrates i ci bezimienni, a żyjący jeszcze wcześniej, którzy całe tysiąclecie przed-Grekami stworzyli tu w Egipcie swoisty amalgamat nauki i teozofii. Bywało, że Whemple podświadomie spodziewał się, że któregoś dnia Muller wyrecytuje w końcu jakieś zaklęcie czy magiczną formułę.

— Wydaje mi się — odezwał się Norton, obracając się na krześle — że nasz szczególnie gość jest jedynym od dwóch, miesięcy, godnym uwagi znaleziskiem.

Whemple uśmiechnął się w odpowiedzi. Wyczuł jakąś skrywaną więź między Nortonom a doktorem Mullerem. Być może był to ten sam rodzaj ekscytującej więzi, jaka łączyła Mullera z Imhotepem; pokrewieństwo między szamanami z różnych epok. I dlatego w chwili potem Whemple poczuł się nieco rozczarowany, gdy Muller oznajmił:

Tu nie ma nacięcia, jakie robi się podczas balsamowania. Wnętrznosci nie zostały wyjęte...

* * *

Nóż był właściwie zbędny; Muller z łatwością rozrywał paznokciami przegniłe bandaże spowijające okolice brzucha. Pod spodem znalazł coś, co nim wstrząsnęło: cudownie zachowaną skórę, wysuszoną niczym papirus, ale nadal jeszcze zdumiewająco elastyczną i ciasno opinającą ciało tego mężczyzny, który żył w czasach przed Mojżeszem. Stan zakonserwowanego ciała był niewiarygodnie dobry. Muller sięgnął głębiej do trumny, by sprawdzić, czy jest gdzieś wilgotna. Nie była. Doszedł do wniosku, że suchość została spowodowana gwałtownym i całkowitym wysuszeniem drewna. Stało się też jasne, że ciała nie poddano balsamowaniu. Na stronie brzusznej Muller nie stwierdził jakichkolwiek nacięć. A nieobecność fragmentów materii w nozdrzach wskazywała, że mózg, o ile w ogóle był, nie został wyciągnięty w rutynowy sposób. Muller domyślał się, że wszystkie organy wewnętrzne znajdowały się na swoim miejscu. I domyślał się także, dlaczego tak się stało.

Norton odstał od stołu, żeby przyjrzeć się twarzy mumii.

— Wygląda tak, jakby został stworzony żeby się z nim fotografować — powiedział Norton ze swadą. — Nigdy wcześniej nie widziałem kogoś takiego.

— I nie zobaczysz — odparł oschłe Whemple.

Norton zignorował go.

— Wydaje się, że umarł w sposób raczej mało przyjemny.

Muller wskazał na wykrzywioną grymasem twarz mumii.

— Ten skurcz mięśni sugeruje, że zanim umarł szamotał się jeszcze w bandażach.

Norton na moment powstrzymał się od skomentowania tego, co usłyszał. To odkrycie poruszyło go. Następnie wyszeptał:

— Nie pomyślałbym nigdy, że to możliwe... Biedny facet... — raz jeszcze westchnął. — Co też przeskrobałeś, panie Imhotep, że cię pogrzebali żywcem?

— To była egzekucja — wtrącił Whemple. — Być może z powodu zdrady.

Muller niespiesznie pokręcił głową.

— Wygląda to bardziej na zemstę za świętokradztwo.

Powiedziawszy to, łagodnie przesunął palcem po prawie całkowicie zatartej inskrypcji na wieku trumny.

— Tutaj były wyryte święte formuły, które miały chronić duszę podczas wędrówki do podziemnego królestwa cieni. Zostały zdrapane prawie zupełnie. Imhotep został skazany na śmierć nie tylko w tym świecie, ale także w zaświatach.

Kiedy Muller mówił te słowa przebiegło go jakieś bezwiedny drżenie. Złapał się na tym, że próbuje wyobrazić sobie uczucie, jakie mogłoby mu towarzyszyć, gdyby jego ciało stopniowo owijano w zwoje bandaży, dochodząc w końcu do ust, nosa i zasłaniając ostatnie promienie światła docierające do oczu. A następnie złożenie ciała w trumnie, głośnie zapłombowanie wieka, a dalej głuchoe odgłosy rzucanego piasku, z wolna zakrywającego drewnianą trumnę. I panikę, okropną samotność, by wchłonąć resztkę powietrza, przeraźliwy horror w gorącej ciemności...

— Być może odpowiedź znajduje się w skrzynce, którą zasypali razem z nim — z nadzieją w głosie stwierdził Norton.

Whemple sapnął i odepchnął krzesło, na którym siedział.

* * *

Tylko zewnętrzna część skrzynki była drewniana, i tak wysuszona, że rozpadła się na kawałki przy próbie otwarcia. Wewnątrz znajdował się kolejny pojemnik, owinięty w żółtawą tkaninę, która błyskawicznie kruszyła się pod dotknięciem palców. Ten wewnętrzny pojemnik

był metalowy — najprawdopodobniej wykonany z miedzi — był chyba ciężki i zupełnie zmatowiał. Whemple pociągnął ostrzem noża po jednej ze ścianek i natychmiast błysnął jaskrawy refleks żółci; test na kwas potwierdził, że to szczerze złoto. Ekscytacja trzech mężczyzn spotęgowała się, kiedy Whemple przyklęknął, żeby przyjrzeć; się uważniej dwóm glinianym pieczęciom przylegającym do wieka.

— Kartusz faraona Eje — wymruczał Whemple, i sprawdzając, czy pieczęcie nie były naruszone. Kilkakrotnie rozmasował palce, żeby stały się elastyczniejsze, ale mimo to drżał nieznacznie, kiedy przyłożył ostrze noża do skamieniałej gliny, żeby ją rozciąć łagodnymi ruchami, jakby piłował. Ciął tak, by uniknąć uszkodzenia kartusza. Kiedy tak pracował zapamiętała, atmosfera w namiocie gęstniała z sekundy na sekundę. Nawet Norton milczał. Aż w końcu nóż przeszedł swobodnie, nie napotykając żadnego oporu. Whemple powoli otworzył złoty pojemnik i wyjął to, co było w środku.

Był to jeszcze jeden pojemnik, tym. razem znacznie mniejszy, z półprzezroczystego alabastru. Whemple; z wielką ostrożnością umieścił pojemnik na stole. Lampka oliwna stojąca za pojemnikiem tak rozświetliła jego wnętrze, że zauważyli w środku zarys jakiegoś ciemnego przedmiotu. Ale nie potrafili powiedzieć jakiego. Whemple przesunął lampę tak, że jej światło spłynęło na wieko. Muller pochylił się do przodu, by spojrzeć na hieroglify, lecz zasłaniał mu; Whemple.

— Mamy tu potwierdzenie okresu — oznajmił Whemple. — Pismo późnoegipskie. Hieratyczne. - Zaczął kolejno przesuwając palcami po piktogramach, jednocześnie tłumacząc je głośno. „Śmierć... kara... wiekuista kara... dla każdego... dla każdego kto otworzy tę szkatułę... Tak się stanie w imię Ra... Króla Bogów.”

— Otwórz to — zaproponował Norton.

— Nie — sprzeciwił się Muller. Whemple wyciągnął rękę, by otworzyć wieko szkatuły, ale napotkał dłoń Mullera, przyciskającą wieko i nie pozwalającą go ruszyć.

* * *

Muller był pewien od początku, że szkatuła zawiera jakiś przeklęty przedmiot, albo listę przewinień Imhotepa, pochowane wraz z kapłanem, żeby zatrzeć po nich wszelkie ślady. Bez wątplenia klucz do tajemnicy śmierci Imhotepa znajdował się tutaj, pogrzebany wraz z nim, ukryty przed ludzkim wzrokiem. To z całą pewnością było świętokradztwo, ale nieprzeciętne. Pogrzeb był aktem symbolicznym, przerażającym w swym okrucieństwie i straszliwym w swej niezmienności. Ale tylko symbolicznym aktem. I podobnie jak Norton, Muller zastanawiał się, co też zrobił najwyższy kapłan Imhotep, że poniósł tak okrutną karę. Ale klątwa była czymś, czego Muller się nie spodziewał. A jej brzmienie, czas, w którym została rzucona, a także umieszczenie jej na wieku wewnętrznej szkatuły — powiedziały mu bardzo dużo. Od razu się domyślił co zawierała szkatuła i dlaczego Imhotep został pogrzebany żywcem wraz z nią.

Wiedział też, dlaczego po wiekach kopania i poszukiwań nikt nigdy nie znalazł Zwoju Tota. Były wzmianki o nim w innych papirusowych zwojach, w Księdze Umarłych, na podziemnych, wykutych w skale stellach, w magicznych rytach na murach świątyń: wzmianki i rzeźbione repliki, ale nie było zwoju. I te wzmianki urywają się raptownie w interregnum pomiędzy końcem władania ostatniego faraona Osiemnastej Dynastii i pojawieniem się założyciela Dziewiętnastej Dynastii. Niektórzy uczeni, Muller wiedział o tym, wierzyli, że zwój został zniszczony podczas wojen hetyckich: inni z kolei, że był bytem czysto symbolicznym — elementem egipskiego folkloru — i tak naprawdę to nigdy nie istniał.

— Respektuję twoje przekonania, Muller — oznajmił stanowczo Whemple — ale nie na tyle, żeby mi przeszkadzały w pracy.

Muller spojrział na niego. Na ogół dobrotliwa twarz Whemple'a z okularami zsuniętymi na nos, tym razem zirytowała go: twarz dogmatyka, twarz człowieka „daj, niech to najpierw

sprawdę”, twarz; zupełnie nieelastycznego pozytywisty. Ten facet ma najprzypuszczalnie ograniczony umysł, pomyślał Muller. I powiedział:

— Jest coś, czego w ogóle nie wiesz, Whemple. Uwierz mi. I zostaw to... To jest najlepsza rada, jaką; kiedykolwiek możesz otrzymać.

Norton, z właściwą sobie młodzieńczą arogancją i ignorancją skwitował tę potyczkę ironicznym uśmiechem.

— Wydaje mi się, że kilka tysięcy lat przebywania w ziemi mogło wyciągnąć z tego fetyszu wszelkie kłątwy. W tak miłym cieple, doktorze...

— Tak — zgodził się Muller — w miłym cieple... — I dodał po chwili:

— Whemple, chciałbym zamienić z tobą kilka słów na zewnątrz. — Ale ujrawszy jak Whemple i Norton wymieniają spojrzenia powiedział jeszcze:

— Pod żadnym pozorem nie dotykaj tej szkatuły, Norton.

Muller złapał się na tym, że to, co przed chwilą powiedział zabrzmiało zbyt melodramatycznie, ale tak właśnie zamierzał.

— Nawet na to nie patrz.

— Kontynuuj katalogowanie — Whemple poradził swemu młodemu asystentowi. — Otworzymy to później.

* * *

Usiedli na ciągle jeszcze rozgrzanych kamiennych schodach świątyni Hatszesput. Za ich plecami rozciągała się równina białego piasku, miejscami jeszcze bardziej pobielanego w brylantowej poświacie księżyca, a z tej piaszczystej połaci wyrastały ku górze gigantyczne kolumny, wykute w litej skalnej ścianie przez zastępy niewolników posługujących się zaledwie niewielkimi toporkami. To otoczenie wyzwalało dreszcz. I Whemple natychmiast zdał sobie sprawę, że Muller z pełną premedytacją wyciągnął go na zewnątrz namiotu, po to, by zarazić go tchnieniem nieskończoności emanującym z tego miejsca. Jeśli kiedykolwiek, chociaż przez chwilę, przekłety mistycyzm Mullera był stosowny, to właśnie w tej patetycznej scenografii.

Muller nie tracił czasu.

— Słyszałeś o Zwoju Tota? — odezwał się.

— Oczywiście.

— Jestem przekonany, że szkatuła go zawiera.

Whemple spróbował przerwać Mullerowi, lecz ten nakazał mu ciszę.

— Jestem przekonany, że zwój był używany przez Imhotepa do jakichś świętokradczych poczynań i został pogrzebany wraz z nim, by na zawsze zapobiec podobnym występkom.

Whemple milczał, myśląc o tym, co usłyszał. Jeśli Muller się nie mylił, byłoby to jedno z najbardziej znaczących odkryć w historii egiptologii. A Muller, wiedząc o tym i będąc przekonany, że zwój znajduje się w środku, chciał powstrzymać ich przed otwarciem szkatuły. To nie miało sensu. Dlaczego Muller wyruszył na tę ekspedycję, jeśli nie w nadziei dokonania takiego odkrycia? Whemple nie wytrzymał.

— Jeśli się nie mylisz — stwierdził — to takie odkrycie byłoby zwieńczeniem całej mojej kariery. Trudno mi będzie czekać...

Doktor Muller starał się za wszelką cenę nie okazać żadnych emocji.

— Jesteś bardzo z tego dumny, sir Josephie — Muller wolno cedził słowa — że kierujesz się wyłącznie beznamiętną logiką. A więc rozważ logicznie to, co powiem...

Muller wnikliwie spojrzał na Whemple'a.

— Załóżmy, że mam rację i że zwój jest w szkatule, ten sam zwój, który faraon przekazywał faraonowi i najwyższy kapłan przekazywał najwyższemu kapłanowi jeszcze w czasach sprzed Pierwszej Dynastii. I został pogrzebany wraz z Imhotepem, co oznacza, że święty zwój

został zbezczeszczony przez niego, ale oznacza także, że kiedy się to stało, ciągle zachowywał swą świętą moc. Czy zdajesz sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką przyjmujesz na siebie wydobywając ten zwój na światło dzienne? Zawiera on wielkie zaklęcie, którym Izis wskrzesiła Ozyrysa. Norton nazwał to fetyszem i nie wątpię, że ty także tak myślisz. Ale czy jesteś pewien, że nie mamy do czynienia z czymś znacznie potężniejszym od zwyczajnego fetyszu? Imhotep został pogrzebany żywcem... Z jakiegoś powodu...

— Za złamanie tabu swojego czasu. Dzisiaj taki człowiek mógłby zostać wtrącony do Tunbridge Wells za bluźnierstwo zaprzeczające istnieniu Boga czy szatana. Popełniasz błąd logiczny, Muller.

Muller skinął głową, ale więcej było w tym geście rezygnacji niż zgody.

Po dłuższej chwili milczenia Whemple zabrał głos ponownie.

— Nawet jeśli wierzysz w klątwę i w to, że Zwój Tota sprowadzi na nas legiony umarłych, ja chcę otworzyć szkatułę. Jeśli bym tego nie zrobił, zaprzeczyłbym sensowi nauki, czy nie tak? Wróc ze mną. Zbadamy ten zwój obaj, a nasze nazwiska z pewnością dołączą do takich jak Schliemann, Lepsius i Bankes.

Muller odwrócił się i odszedł.

— Przed tobą tylko pustynia — zawołał za nim Whemple.

— Znam ścieżki do Nilu — odkrzyknął Muller w odpowiedzi. Zatrzymał się, odwrócił w stronę Whemple'a i spojrzął na niego.

— Wybacz, ale nie mogę usprawiedliwiać świętokradztwa — choćby samą obecnością. Modłę się w duchu — przez wzgląd na ciebie, sir Josephie — żebyś jednak nie ujrzał Zwoju Tota.

* * *

W miejscu leżącym dwa tysiące mil dalej ładne, o ciemnej karnacji dziecko niespokojnie poruszyło się we śnie. Była to dziewczynka, która po krótkiej szamotaninie rzuciła z siebie kołdrę. Mimo że była chłodna noc listopadowa wydawało się, że w zupełności wystarcza jej samo prześcieradło. W kilka minut później przełożona szkoły przechodziła przez rozległą sypialnię bursy i zatrzymała się przy łóżku Heleny Grosvenor. Zatrzymała się, ponieważ to, że kołdra Heleny leżała na podłodze, a ona sama dziwnie skurczona pod naciągniętym prześcieradłem, było niezwykle. Nigdy dotąd nie rozkopywała pościeli w czasie spania, jak na przykład jedna dziewczynka z Thornton, raczej też nie miewała męczących snów jak Marion van der Renk. Przełożona miała pod swoją nieustanną pieczę w szkole w Grangely trzysta dwadzieścia dziewcząt, w wieku od dwunastu do osiemnastu lat, i znakomicie wiedziała jak każda z nich zachowuje się podczas snu. Helena Grosvenor była najbardziej spokojną z dziewczynek, chociaż mając zaledwie jedenaście lat i dziewięć miesięcy, była zarazem najmłodsza w szkole. Nigdy nie lunatykowała, nigdy nie przeżywała niepokojów nocą, nie krzyczała, że widzi w pokoju ducha, czy potwora, który przysiadł na skraju łóżka. Jak tylko przełożona sięgała pamięcią, Helena Grosvenor nigdy nie wymagała nocnej pomocy ze strony panny Lowe. Dlatego znajdując Helenę tak znekana, przełożona uznała, że jej najmłodsza podopieczna jest chora.

Położyła dłoń na czole Heleny i stwierdziła, że było niepokojąco ciepłe. Pochyliła się, podniosła z podłogi kołdrę i przykryła dziewczynkę. Ta zaczęła mruczeć niezrozumiale.

— Heleno, drogie dziecko...? — Przełożona nachyliła się nasłuchując, ale jedyną odpowiedzią jaka dotarła do niej był ciche jęknięcie.

— Czy coś cię boli, Heleno? — zaniepokoiła się. Nie była zdecydowana, czy powinna małą obudzić, czy też posłać po doktora, a może po prostu pozwolić jej spać dalej. Jedyne czego się obawiała, to możliwość poważnej choroby którejś ze stu sześćdziesięciu czterech dziewczynek, gdyż ich rodzice przebywali za granicą i decyzja o ewentualnym ich sprowadzeniu z jakiejś odległej części świata, w której się akurat znajdowali raczej nie należała do

łatwych. Ojciec Heleny Grosvenor był gubernatorem Sudanu. Sudan, przełożona zdawała sobie z tego sprawę, leżał jakieś dwa tysiące mil na wschód od granic hrabstwa Buckinghamshire. Czy ten człowiek, otrzymawszy wiadomość, odbędzie podróż na wielbłądzie do najbliższego portu? Przełożona nie wiedziała co robić. Naraz do jej uszu dotarło cicho, lecz wyraźnie wypowiedziane przez dziewczynkę słowo: KARNAK. Kobieta cofnęła się. Z całą pewnością usłyszała jakąś wschodnią nazwę...

— Czy to jest może tam, gdzie przebywa twój ojciec, kochanie? — Wyszeptała przełożona i w chwilę potem odniosła wrażenie, że dziewczynka jakby potwierdzając, skinęła głową.

— Czy powinniśmy sprowadzić tu z Karnaku jej ojca? — godzinę później przełożona pytała pannę Lowe, kiedy lekarz zbadał już Helenę Grosvenor.

— To nie będzie konieczne, proszę pani — stwierdziła panna Lowe. — Gorączka już opada.

I dodała.

— Sir George Grosvenor rezyduje w Chartumie.

* * *

Zanim sir Joseph Whemple wrócił do namiotu gdzieś w połowie drogi usłyszał śmiech. Dotarł do niego jakby nieśmiały, ale wyzwajający lęk swoją tajemniczością na pustynnym morzu ciszy. Zdawał sobie sprawę, że mógł się śmiać tylko Norton, lecz zarazem to nie brzmiało, jak jego głos. Norton uwielbiał błaznować i najprawdopodobniej przechodził kolejny atak śmiechu, wybuchającego na ogół z mało znanych powodów. Jednak rodzaj śmiechu, jaki ponownie doleciał do uszu Whemple'a zdecydowanie niewiele miał wspólnego z humorem. Whemple zareagował na niego nerwowym wzdrygnięciem. Przyspieszył kroku, który w pewnym momencie przeszedł w bieg. Głos dobiegający z namiotu stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej nienaturalny. I naraz Whemple zdał sobie sprawę z tego, co wyzwoliło w nim uczucie lęku. W głosie Nortona była histeria, jak u paranoika, który utracił kontrolę nad własnymi poczynaniami. Nagle Whemple przystanął. Zaczął rejestrować niesamowite zjawisko — głos Nortona narastał kreszczendo odbijając się rytmicznie wśród otaczających dolinę gór. Kakofonia wzbierała. Whemple znowu ruszył przed siebie.

Hałas urwał się dokładnie w momencie, kiedy Whemple dotarł do namiotu. Norton siedział w fotelu, w niekontrolowanym rytmie uderzał dłońmi w kolana i co chwilę wskazywał na coś ręką. Nawet nie spojrzał na Whemple'a, nie zareagował też, gdy ten kilka razy nim potrząsnął, tylko niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przeciwległą ścianę namiotu. Jego oczy były nienaturalnie bezbarwne, jak u ślepeca.

— On poszedł — powiedział krótko Norton. — Poszedł na mały spacer.

— Co się z tobą dzieje! — krzyknął Whemple. — Co to za diabelski humor?

Przecież Norton w żaden sposób nie mógł wiedzieć że Muller wyruszył w drogę przez pustynię. Whemple starał się to zrozumieć, chciał wydobyć odpowiedź od Nortona, ale nie wiedział jak. A Norton znowu zaczął się śmiać i był to śmiech całkowicie nieopanowany.

— Powinieneś być widzieć jego twarz...

Norton po raz kolejny wskazał na ścianę i Whemple aż obrócił się dokoła, żeby zobaczyć co wprawiło Nortona w taki stan, co go doprowadziło do szaleństwa.

Trumna mumii była tam, gdzie ją postawili — oparta o ścianę namiotu. Lecz samej mumii nie było. Whemple błyskawicznie przeniósł wzrok na stół. Alabastrowa szkatuła stała tam nadal, lecz została otwarta. Oczywiście to co leżało w środku, czymkolwiek było, zniknęło także. Whemple poczuł nagłe zawirowanie w głowie. Tak dokuczliwe, że musiał usiąść, w możliwie najspokojniejszym miejscu, gdzie mógłby się skupić i pozbyć dręczącego poczucia absurdalności sytuacji. Tylko jedna myśl wydawała mu się sensowna. Musiało dojść do kradzieży. Ktoś skradł to, co znaleźli — mumię i papirusowy zwój. A Norton śmiał się tak

histerycznie, bo szok wywołany tym wydarzeniem poraził go.

— Ilu ich było? — pytał podekscytowany potrząsając Nortonem niczym pijanym.

Odpowiedzią był znowu śmiech, trochę tylko słabszy niż poprzednio. Nie, oczywiście... Norton nie widział złodziei. Musiał być zaabsorbowany katalogowaniem znalezisk. Tak czy inaczej, okradli Nortona nie zwracając jego uwagi. Z pewnością Norton, ujrawszy pustą trumnę i przypomniawszy sobie mistyczne bzdury prawione przez Mullera, przestraszony, wymyślił, że mumia po prostu poszła sobie. Ten nonsens doprowadził go do chwilowego pomieszenia zmysłów.

— Okradziono cię — stwierdził Whemple. — To wszystko. Norton, posłuchaj mnie. Ktoś się tutaj zakradł i wyniósł to, co znaleźliśmy. To wszystko. Ocknij się! No, do licha...

Whemple spuścił wzrok i spojrzał na swoją dłoń opierającą się o wypolerowany blat drewnianego stołu. Zdumiał się, gdy spostrzegł obok cienką warstwę pyłu ułożonego w kształcie dłoni, znacznie większej niż jego własna. Złodziej o zakurzonej dłoni..., zdziwił się Whemple. Sięgnął po kartę katalogową, nad którą mozolił się Norton. SKORUPA, PÓŁKO-LISTA, NIE GLAZUROWANA GLINA, 311. POSĄŻEK POSTACI LUDZKIEJ Z KANOPY, ALABASTER, 312. POWINIENIEŚ ODETCHNAĆ OD ŻYCIA NICZYM SŁOŃCE ZACHODZĄCE PRZED NOWYM ŚWITEM NA WSCHODZIE, I JAK PIERWSZE PROMIENIE RA, NIECH SIĘ TAK STANIE, ROZPROSZA CIENIE...

Transkrypcja Wielkiego Zaklęcia ze Zwoju Tota, pomyślał Whemple, okres predynastyczny, 313.

Rozdział drugi

Kiedy sir Joseph Whemple wkraczał do nowej galerii w Kairskim Muzeum Starożytności Egipskich nie ukrywał zanadto swego nieukontentowania z faktu, że to nie on, a jego syn Frank dotarł do grobowca. Nie zamierzał umniejszać prestiżu syna, ale tego największego odkrycia od czasu odnalezienia przez Cartera grobowca Tutanchamona Frank dokonał dzięki pewnemu wędrownemu Egipcjaninowi. Dla człowieka tak młodego jak Frank, taki zbieg okoliczności zdawał się być nadmiernym szczęściem... Być może jeszcze nie zasługiwał na nie... Na moment Whemple przypomniał sobie Nortona, ale zaraz odpędził to wspomnienie. Norton zmarł kilka lat temu... w kaftanie bezpieczeństwa, obłąkany, nieuleczalnie chory. Sam Whemple jakoś uniknął dotknięcia przez to, co przed jedenastu laty stało się przyczyną udręki Nortona w piaskach nubijskiej pustyni. Whemple od tego czasu nie wracał do Egiptu, chociaż ciężko mu było wytrwać w tym postanowieniu. I nawet odkrycie Cartera nie skłoniło go do powrotu. Być może dlatego, że upłynęło za mało czasu od jego własnego odkrycia, fetowanego znacznie mniej niż tamto. I dopiero teraz, po jedenastu latach, powrócił. Szedł wolno przez opustoszałą galerię, zastanawiając się już po raz n-ty nad cudownym zbiegiem okoliczności, które doprowadziły Franka do tego fantastycznego odkrycia — kompletnego, jeszcze nie splądrowanego grobowca królowej Anchesenamon, młodziutkiej żony Tutanchamona, ostatniego z Osiemnastej Dynastii faraonów. I Frank na dobrą sprawę został zaprowadzony w to miejsce.

Naraz w odległym końcu galerii Whemple dojrzał wysokiego Egipcjanina stojącego przed wewnętrzną, złotą trumną królowej i patrzącego na mumię. Ten mężczyzna bez wątpienia musiał być jakimś egipskim patrycjuszem: jego sylwetka emanowała dostojeństwem, miał na sobie białą, jedwabną szatę, a na głowie czerwony fez, który sprawiał, że wydawał się jeszcze wyższy. Dzwonek codziennie obwieszczający zamknięcie ekspozycji już przebrzmiał i

Whemple poczuł się w niezbyt przyjemnym obowiązku poproszenia zwiedzającego o opuszczenie galerii. Poczucie obowiązku spotęgowało się jeszcze, gdy rzucił okiem na szklaną tablicę wiszącą na ścianie, a zawierającą wykaz przedmiotów pochówkowych, jakie znaleziono wraz z Anchesenamom: jej klejnoty i wyrafinowane przybory kosmetyczne uchowały się przed ręką złodzieja aż od 1350 roku przed Chrystusem, ale mogą nie uniknąć tego losu teraz — w roku 1932.

I chociaż ten wysoki Egipcjanin nie wyglądał na złoczyńcę, było w nim coś takiego, co wzbudziło w Whemple'u nieufność; jakaś alarmująca tajemniczość jego obecności w galerii poza godzinami otwarcia.

Egipcjanin nie słyszał kroków. Zareagował dopiero wtedy, kiedy Whemple odezwał się: — Był już dzwonek na zamknięcie, sir.

Ten, do którego skierowane były słowa odwrócił się niespiesznie, bez wyrazu skruchy. Jego wzrok, początkowo człowieka głęboko zamyślnego, raptownie przemienił się w spojrzenie człowieka wyrwanego, wbrew jego woli, z kręgu najgłębszej intymności. Jego oczy rozblęły...

* * *

W innej dzielnicy Kairu, Helena Grosvenor podała ramię doktorowi Mullerowi w restauracji na dachu Hotelu Semiramida. Jakiś lokalny jazz-band przygrywał do tańca a nubijscy kelnerzy w czerwonych fezach roznosili pomiędzy gośćmi tace z napojami. Kilku brytyjskich oficerów stało beczynnie w sąsiedztwie palm, trzymali w dłoniach kieliszki z drinkami i robili co tylko było w ich mocy, żeby wydać się jak najbardziej atrakcyjnymi przechodzącą właśnie obok nich Helenie. Unikała ich wzroku, ale wyraźnie czuła na sobie ich spojrzenia odprowadzające ją aż do progu restauracji. Właściwa postawa, jakiej nabyła kończąc szkołę, była mieszaniną dumy — lecz nie wyniosłości, powściągliwości — lecz nie pogardy, Helena zdawała sobie w pełni sprawę z mocy swej urody, wcale nie ostentacyjnej a zarazem pobudzającej admirację ze strony mężczyzn nawet bez potrzeby uciekania się do wystudiowanej zalotności. Tańczyła całkiem dobrze, ale jak jej powiedziano, w ogóle nie. angażowała się w taniec, traktując go czysto funkcjonalnie. Taniec sam w sobie raczej ją nudził.

Ponownie poczuła obok siebie Mullera, kiedy spoglądała z góry na rozciągającą się przed nią panoramę Kairu — miejsca nieprawdopodobnej wręcz architektonicznej anarchii, miasta minaretów i betonowych bloków, szerokich, rozświetlonych alej i cuchnących uliczek. Z dołu dobiegała do jej uszu kakofonia jazgotliwych klaksonów samochodów, zmieszana ze swingującymi rytmami orkiestry grającej w palmowym ogrodzie innej części hotelu.

— Prześliczny widok, prawda? — odezwał się doktor Muller.

— Raczej miejsce bez gustu, chociaż i tak sprawia lepsze wrażenie niż Chartum.

— Nie, nie o to chodzi... — Muller wskazał jej to, co miał na myśli — widok Nilu ciągnącego się poniżej na podobieństwo strugi roztopionej smoły. Kilka mil dalej, już poza obszarem aluwialnej doliny Nilu, dostrzegła płaskowyż z piramidami Cheopsa. Chefrena i Mykerinosa, rozświetlonymi przez srebrzysty blask księżyca. Nieruchoma scena Egiptu ze zmieniającymi się jedynie na przestrzeni stuleci aktorami, niczym w jakimś gigantycznie ciągnącym się filmie fabularnym.

Tak — odparła, dziwiąc się zarazem przez moment samej sobie, jak mogła uznać, że Muller ma na myśli chaotyczną panoramę dachów Kairu. — Tak, dziękuję bardzo...

— Za co? — zdziwił się Muller.

Helena energicznie machnęła ręką.

— Za pozwolenie pozostania mi z panem i z Frau Muller i za to, że nie będę musiała wracać do Sudanu z ojcem.

Muller uśmiechnął się.

— Wdzięczny jestem losowi, że tak się stało. Jesteś moją najbardziej interesującą pa-

cjentką.

— Czy dlatego, że nie może pan ustalić co naprawdę niedobrego dzieje się ze mną? — spytała uszczypliwie. — A może chce mnie pan zatrzymać jako swego rodzaju osobliwość?

— Sądzę, że nigdy by mi się to nie udało.

Na twarzy Heleny pojawił się wymuszony grymas uśmiechu. Atmosfera była lekko zważona. Muller dobrze zdawał sobie sprawę z tego, dlaczego Helena znajdowała się w Kairze, dlaczego poszła potańczyć tego wieczoru. Taniec był sposobem na oderwanie się, czymś co chroniło ją przed nią samą, czymś co przynajmniej na jakiś czas trzymało na wodzy jej zmienne nastroje. Doktor Muller nazywał jej zachowania nastrojami, ale one były czymś więcej. Niektóre pełne temperamentu gwiazdy filmowe bywają dotknięte labilnością nastrojów. To, czego ona doświadczała było czymś zdecydowanie odmiennym; bliskim transu stanem snu na jawie, nieustannie wzbudzającym w niej lęk — lęk znacznie bardziej intensywny niż po najgorszym nocnym koszmarze. Ten stan wysysał z niej wszelkie emocje, uczucia i być może, litościwie, także pamięć. Kiedy po raz ostatni zaistniał taki stan? Z dobry miesiąc temu. Ale na podstawie interwałów między kolejnymi falami „nastrojów” właściwie nie można było diagnozować czegokolwiek. Zdarzyło się, że minął ponad rok w życiu Heleny bez jednego „snu” i „nastroju”, ale to było gdy miała szesnaście lat. W ciągu minionych pięciu, sześciu lat — trzy miesiące stanowiły najdłuższą przerwę. Teraz przebywała wraz z doktorem Mullerem i jego żoną więc miał ją pod ciągłą, dwudziestoczęterogodziną, codzienną obserwacją: dostarczał jej rozmaitych różowych i czerwonych pigułek, urządzał specjalnie dla niej seanse hipnotyczne i psychoanalityczne, a także prowadził testy, niczym na jakimś króliku doświadczalnym.

— Dlaczego nie tańczysz? — zaproponował i Helen skinęła głową bez szczególnego entuzjazmu, gdyż taniec też miał stanowić jeden z elementów jej terapii. Ale i tak, w jej odczuciu, był czymś lepszym niż przygnębiająca cisza w towarzystwie ojca, który zarządzał swoistym domowym zakładem dla obłąkanych, z którymi nie tyle rozmawiał, co warczał na nich. I niż cisza w obecności matki o wiecznie zdeprymowanej twarzy i wierzącej święcie we wszelkie podsuwane jej przez innych opowieści, że o powodzeniu w życiu człowieka decyduje wpływ planet.

— Właściwie dlaczego nigdy nie starali się naprawdę dowiedzieć co mi jest? — głośno pomyślała Helena. — Może sądzą, że to jest zaraźliwe.

* * *

Egipcjanin zdawał się, wprawdzie z widocznym wysiłkiem, odzyskiwać zimną krew. Była to dosyć zdumiewająca postać; wysoki, z wydatną czaszką i ciemnobrązową skórą, sugerującą, że sporą część życia spędzał bezpośrednio pod oślepiającym egipskim słońcem. Kiedy się odezwał mówił wolno i ze zwracającą uwagę precyzją, jakby za punkt honoru postawił sobie jak najpoprawniejszą angielską wymowę.

— Czy mam zaszczyt z sir Josephem Whemplem? — zauważył.

Whemple skinął głową.

— Nazywam się Ardath Bey.

I Whemple natychmiast przypomniał sobie wszystko. Ardath Bey był tym mężczyzną, który zaprowadził Franka do ukrytego grobowca Anchesenamon. Później zniknął gdzieś w zamieszaniu wywołanym odkryciem. Nikt nie widział go od tamtej pory. Whemple złapał się na tym, że bardziej jest pod wrażeniem niespotykanej powściągliwości i skromności tego człowieka, niż jego równie niespotykanego wzrostu. Wyciągnął rękę, ale Bey zamiast podać swoją, skłonił się; był to niski, pełen wyszukanej elegancji ukłon, który komuś z boku mógłby wydać się sztuczny, ale w przypadku tego mężczyzny nie był. Whemple powiedział:

— Tylko dzięki panu ta wystawa w ogóle została otwarta. Muzeum powinno być otwarte do pańskiej dyspozycji przez całą noc, sir.

Ardath Bey przyjął słowa uznania lekkim skłonieniem swej obszernej głowy.

— Mój syn jest na dole — oznajmił Whemple. — Jestem przekonany, że bardzo się ucieszy spotkawszy pana ponownie.

— Nie chciałbym pana zatrzymywać...

— Ależ nie. My i tak pracujemy znacznie dłużej. — Whemple wyciągnął rękę z zamiarem objęcia Beya za ramię, ale Egipcjanin szybko zrobił krok do tyłu.

— Proszę mi wybaczyć — poprosił, uśmiechnąwszy się. — Wyznaję pewien wschodni przesąd, by nie pozwalać się dotykać. Wybaczy mi pan moją reakcję?

— Czy w takim razie zechce pan przyjąć zaproszenie do mojego domu?

— Żałuję, że muszę odmówić, lecz jestem zbyt zajęty, by skorzystać z zaproszenia.

Egipcjanin skłonił się ponownie, odwrócił i niezwłocznie opuścił salę muzeum, zanim Whemple zdołał w ogóle zastanowić się nad sposobem zatrzymania go. To spotkanie było tak krótkie — tak niesamowicie osobliwe — że Whemple zastanawiał się, spiesząc do Franka, by opowiedzieć mu o wszystkim — czy to przypadkiem nie było jakimś snem.

* * *

To przyszło, jak zwykle, bez uprzedzenia. Tym razem pojawiło się w środku tańca, poczuła, że miękną jej nogi i widziała zdziwienie swego partnera, gdy odprowadzał ją na miejsce. Chciała powiedzieć mu, żeby nikogo nie alarmował, chciała go przeprosić, wyjaśnić wszystko, poprosić by wezwał doktora Mullera; lecz Helena, która to wszystko zamierzała zrobić naraz zaczęła zapadać się wewnątrz siebie, jakby wciągnięta do jakiejś mrocznej tuby — tubą była inna Helena — ta, której się nieco obawiała, chociaż zarazem zdawała sobie sprawę, że nie ma powodu do strachu. Poczula, że przemierza taras na dachu. Wiedziała, że jest to dach, ponieważ widziała z niego inne dachy — wszystkie niestylowe, wręcz szpetne i w ogóle nieznanne jej. Ale za to poniżej przepływał Nil. Rozpoznała rzekę, dolinę i płaskowyż w oddali. Było to przeżycie jakby na pograniczu snu i rozbudzenia, w świecie tylko w połowie znajomym, gdzie jedynie niektóre wrażenia miały znaczenie a inne wcale. Znanym na tyle, by nie wzbudził paniki; obcym na tyle, by wyzwolić niepokój. Tak było zawsze. Przypomnienie, rozpoznanie miejsca, ale zarazem brak w pamięci nazwy na określenie tego miejsca. Lecz tylko chwilowo. Helena miała poczucie, że nazwy pojawią się w końcu. Imiona ludzi — wydobywane z najgłębszych zakamarków pamięci — też stopniowo powinny się pojawić. Jednak w tym najważniejszym dla niej momencie musiała znaleźć się w pograżonym teraz w ciemnościach podłużnym pokoju, gdzie powinny być wszystkie te piękne przedmioty. Eleganckie przybory kosmetyczne, klejnoty i złota szkatuła. Nie, nie myślała o niej jak o jakimś naczyniu trumiennym, lecz po prostu jak o szkatule na klejnoty.

Ale dlaczego wszyscy ci ludzie spoglądają na nią? Nie знаła nikogo z nich. I dlaczego znajdowała się na tarasie na dachu?

Niewielkie drzwi po lewej stronie były następnym celem jej wędrówki. Weszła przez nie i wspięła się na stojący za nimi niewysoki podest. Wyciągnęła ręce do stojącego naprzeciw stołu Nubijczyka i czekała, by podał jej etolę, którą następnie założyła na ramiona. Potem zeszła po schodach, prowadzących na zewnątrz wysokiego budynku. Powietrze było orzeźwiająco chłodne, wiał wiatr od Nilu. Wokół panował zdumiewający hałas i czekając miała poczucie wielkiego pośpiechu wokół. Dookoła niej był pęd, jakieś obiekty przemykały z niewiarygodną szybkością podczas gdy ona odczuwała silną potrzebę ruszenia przed siebie. I ruszyła wolno z właściwym sobie dostojeństwem. Ktoś obok niej spytał dokąd chce jechać, a ona odpowiedziała, nie wiedząc nawet kto pyta. Weszła następnie przez jakieś wąskie drzwi i usiadła na wyściełanej ławie. W chwilę potem doznała uczucia gwałtownego przyspieszenia, któremu towarzyszył silny łoskot; przenikliwy, wibrujący hałas a wraz z nim jakiś nieokreślony zapach, jaki się pojawił, może siarki, spowodował, że zrobiło się jej słabo. Przestraszyła się, gdyż zdawała sobie sprawę, że jak najszybciej powinna znaleźć się na miejscu. To było

bardzo ważne, by dostała się do długiej galerii tak szybko jak tylko będzie to możliwe. Bo jeśli się spóźni już go nie zastanie... Tak się zdarzało wcześniej i zawsze opadał ją smutek, gdy on na nią nie czekał, tak jak obiecywał... Lecz ten czas był inny. Wiedziała, że on jest tutaj teraz. To jest właśnie ten czas, kiedy on czeka na nią.

To było to miejsce. Nie była tu nigdy przedtem, ale poznawała, że to właśnie to miejsce. Na dziedzińcu stały posągi. Szerokie schody prowadziły do spiżowych wrót; przed nimi na straży stały posągi. Wszystko to było obrazem w jej pamięci, ale obrazem, który kiedyś był tutaj rzeczywistością. Miała jeszcze przed sobą wspinaczkę po schodach. I musiała poradzić sobie z otworzeniem masywnych, spiżowych wrót. Otworzy je, pokona jeszcze kilka stopni i znajdzie się w długiej, wąskiej galerii, gdzie powinien czekać na nią on...

* * *

Wyczekując w samochodzie na swego ojca, który sprawdzał jeszcze zamknięcia na zapleczu muzeum, Frank Whemple spostrzegł taksówkę wjeżdżającą na dziedzińiec. Dziewczyna, która z niej wysiadła miała na sobie futrzaną etolę zarzuconą na długą, białą suknię wieczorową, wyraźnie niestosowną w miejscu, do którego przybyła, krępującą jej ruchy, gdy zaczęła energicznie wspinać się po schodach. Młody Whemple uznał, że w żadnym wypadku nie jest ona tylko zwyczajną, spóźnioną, chętną do zwiedzenia muzeum turystką. Kobieta wspinała się po schodach nie bacząc na nawoływania taksówkarza do uregulowania zapłaty za kurs. Gdy znalazła się na górze zaczęła rozpaczliwie szarpać spiżowe wrota, które jego ojciec zamknął właśnie kilka minut wcześniej. Nie mogąc ich otworzyć, z bezsilności, dziewczyna zaczęła uderzać w nie pięściami, jakby sądziła, że uda się jej w ten sposób wyważyć je — drzwi wysokie na osiem stóp, grube na dwa cale i ważące dobrych parę ton. Frank uśmiechnął się i ruszył po schodach.

Dziewczyna w jakiś sposób wydawała mu się znajoma. Nie wiedział, czy tylko przypominała kogoś kogo znał, czy być może gdzieś już ją wcześniej spotkał. Może nie mógł sobie przypomnieć, gdyż wtargnięcie dziewczyny do muzeum było tak niespodziane i prędkie, że nawet nie zdołał się jej dobrze przyjrzeć. Miała twarz Europejki, ale jakby nie do końca — kilka rysów wskazywało na to, że w jej żyłach płynie przynajmniej domieszka krwi egipskiej; widać to było po ciemnej karnacji skóry, oczach o linii bardziej migdału niż okrągłych i delikatnym załamaniu nosa. Jej długie włosy połyskiwały czernią w świetle lamp u bramy. W białej, obcisłej sukni wyglądała niebywale posągowo i tylko niepokój wyczerniony z jej oczu osłabiał nieco ten efekt. Dlaczego była niespokojna? Jeśli zostawiła cokolwiek w muzeum, nie powinna się aż tak niepokoić. Nawet jeśli to były, powiedzmy, rodzinne klejnoty. Wszystko co się znajdowało w Kairskim Muzeum Starożytności Egipskich, było bezpieczne, niczym w Egipskim Banku nawet w nocy. Być może dziewczyna zostawiła coś, co miało dla niej dużą wartość sentymentalną i muzeum wydało się jej ostatnią szansą odnalezienia zguby. Było to widać po jej rozbieganym, rozedrganym wzroku. Ale czy naprawdę zgubiła coś? Być może była po prostu jedną z tych przewrażliwionych, a zarazem rozkapryszonych dziewcząt, mających skłonność do realizacji swoich najdziwaczniejszych szaleństw, świadomych zarazem walorów swej urody, czyniącej je właściwie bezkarnymi w każdej sytuacji.

— Już zamknięte — oświadczył Frank Whemple. — Wszyscy poszli do domu. Muzeum będzie otwarte jutro o dziewiątej.

Spojrzała na niego jakby niewidzącym wzrokiem, w jej oczach krył się głęboki ból. Było w niej coś silnie niepokojącego. Być może jednak była Egipcjanką i nie rozumiała skierowanych do niej słów. Frank łagodnie ujął ją za ramię, by odciągnąć od drzwi i przez krótką chwilę pod satynową suknią poczuł ciepło jej skóry. Stało się to na chwilę przed tym, nim jej świat raptownie zaczął się kurczyć i zapadać.

Kiedy mężczyzna, który stał obok niej dotknął jej, poczuła, że mdleje; przed oczami pojawiła się jakaś fioletowa mgła. Frank, przez moment zdezorientowany tym co się stało,

objął mocniej mdlejącą dziewczynę i sprowadził ją po schodach do samochodu.

* * *

Zbyt wiele rzeczy zastanawiało ją. Stwierdziła, że leży na jakimś łóżku. A przecież nie tak dawno próbowała otworzyć spiżowe wrota, przez które wiodła droga do jakiegoś miejsca wypełnionego posągami i sarkofagami z mumiami — do jakiegoś grobowca najprzypuszczalniej — lecz być może także i do świątyni. W każdym bądź razie było to miejsce, które przerażało ją. Chciała zawołać, żeby ją usłyszał, wydawało się jej nawet, że odpowiedział, ale jego głos był nikły, jakby nieśmiały. Potem został zupełnie zagłuszony przez inne głosy, znacznie głośniejsze, pełne słów, których znaczenia nie rozumiała. Głosy należały do dwóch różnych mężczyzn: jednego młodego, drugiego znacznie starszego. Starła się je przekrzyczeć krzyżąc coraz głośniej, ale głos starszego mężczyzny był silniejszy, wymawiał jej imię, mówił do niej w jej języku. Usłyszała siebie, jak odpowiada. Mężczyzna najwidoczniej musiał być zadowolony z jej odpowiedzi, gdyż pozwolił jej na samotność i sen. Oba głosy oddaliły się i naraz, jakby spoza nich, z bardzo daleka wyłonił się głos, który rozpoznawała. „Wiem, że było już blisko”, mówił znajomy głos i dodał: „Przyszedłem tutaj mając nikłą nadzieję...”

Naraz ktoś odezwał się, jakby prawie przy jej uchu: młody, męski głos o kojącej tonacji. Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą mężczyznę, którego widziała na schodach w muzeum.

— Wiem — odpowiedziała. — To już blisko... Wróc jutro.

— Czy jest pani słabo?

— Przepraszam, to tak tylko... — odparła, próbując usiąść z wysiłkiem. — Gdzie jestem? W hotelu?

— Nie. To jest dom mojego ojca. Przywieźliśmy panią tutaj po tym, kiedy pani zasłała. Nie wiedzieliśmy gdzie pani mieszka.

Przyjrzała mu się. Był młody, miał około dwudziestu pięciu lat, jak się domyślała; swym wyglądem odpowiadał konwencjonalnemu wizerunkowi młodego, angielskiego arystokraty, nosił krótko przycięte, kręcone włosy i miał dobrotliwą, chociaż może nieco pozbawioną charakteru twarz. Ale przyjemną. Uśmiechnął się do niej i ona także odpowiedziała mu uśmiechem, aprobując otwartość płynącą z jego roześmianej twarzy.

— Nazywam się Frank Whemple — przedstawił się, a jej w tym samym momencie zachciało się bardzo głośno śmiać, ponieważ uznała, że to imię jest wręcz stworzone dla twarzy, którą miała przed sobą. Frank i nic ponadto, nic wyszukanego, wręcz tylko Frank, po prostu tylko „Frank”, i aż „Frank”. Czuła nawet wdzięczność do niego za to, że ją przebudził. Chciała mu to powiedzieć, lecz nie zdążyła, ponieważ akurat otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł doktor Muller. Właściwie powinna być zdziwiona jego pojawieniem się, ale nie była. Doktor Muller zawsze potrafił w jakiś sposób odnaleźć ją podczas jej „nastrojów” i Bóg jeden raczy wiedzieć, jak mu się to udawało.

— Och, jesteś tutaj — Muller powitał ją tak, jakby było oczywistością, że tu właśnie powinna się znajdować, jakby wszelkie okoliczności jej pobytu tutaj były całkiem normalne.

— Domyślam się, że już się poznaliście?

Przecząco pokręciła głową, więc Muller dopełnił formalności.

— Panna Helena Grosvenor... Frank Whemple.

Następnie doktor Muller zwrócił się do mężczyzny w średnim wieku, stojącego za nimi.

— To jest ojciec Franka, sir Joseph Whemple. I zarazem mój stary przyjaciel...

Whemple Senior zabrał głos:

— Myślę, że powinniśmy jej dać kilka minut na dojście do siebie.

Propozycja spotkała się z aprobatą wszystkich. Ale zarazem absurdalność całej tej sytuacji ponownie skłoniła Helenę do śmiechu, wręcz historycznego, kiedy dostrzegła pełne zaniepokojenia spojrzenie Franka. Lecz kiedy w geście niejakej bezradności pomachała do niego ręką on także się uśmiechnął.

— Wydaje mi się, że jesteś histeryczką — stwierdził Frank z jakby chłopięcą przekorą.

I to się jej spodobało. W ogóle podobała się jej cała ta sytuacja, w jakiej się znalazła: jej omdlenie, niczym u jakiejś dotkniętej szaleństwem wiktoriańskiej damy, ten okazały, przerosnięty chłopiec, który wyraźnie adorował ją i był zaniepokojony ewentualnością jej psychicznego niezrównoważenia. I jeszcze do tego doktor Muller, to zjawiający się, to znikający, niczym jakiś pastor odwiedzający swoich wiernych. To wszystko razem było cudownie zabawne.

Kiedy nastrój się już zupełnie rozluźnił, Frank przyniósł niewysoki stółek i usiadł przy Helenie, u jej wezgłowia, w przyjętej tradycją pozycji mężczyzny adorującego. Odebrała to jak sytuację trochę na niej wymuszoną. W związku z tym zamierzała zdobyć się na małą uszczypliwość wobec swego samozwańczego adoratora, ale się powstrzymała i tylko spytała:

— W jakim miejscu zemdlałam, panie Whemple?

— Przed muzeum.

— Tak... — w jej pamięci pojawiło się jakieś mgliste wspomnienie. I zapytała jakby bardziej samą siebie:

— Co ja tam robiłam...

— Skąd mam wiedzieć? — odparł Frank, a w tonie jego głosu było coś takiego, że jednocześnie się roześmiali.

— Nie wie pani?

— Nie — odparła, ciągle się śmiejąc.

— Może jest pani nałogową konsumentką kultury?

— Zakradam się, żeby w nocy podziwiać posągi i rzeźby.

— A może dotknięta jest pani fiksacją na punkcie nałogowego wręcz przyglądania się mumiom.

— To już nie jest zabawne — odparła naraz chłodno

— Bardzo, ale to bardzo przepraszam.

Uśmiechnęła się znowu, skinąwszy zarazem na niego głową.

— W porządku... Pańska twarz mówi mi wszystko.

— Czy coś jest z nią nie tak?

— Nie, nie. Przeciwnie... Jest tak wspaniale... Frank.

* * *

Muller usiadł obok biurka w pracowni Whemple'a i starał się ukryć swoją niecierpliwłość, podczas gdy Whemple rozsiadł się wygodnie w fotelu za biurkiem, przesuając zarazem stos książek i małe popiersie królowej Nefretiti, żeby tym samym zrobić miejsce dla swych rąk. I oparł je o biurko, nadal jednak milczał. Nie mogąc już dłużej wytrzymać, Muller w końcu zapytał:

— Dlaczego była w muzeum?

— Nie mam pomysłu.

— A ja sądziłem, że właśnie o tym zamierzałeś mi opowiedzieć.

— Nie. To inna historia.

— O Helenie?

Whemple skinął głową. Wydawał się być nieco niespokojny, jakby zakłopotany.

— Ona jest chyba dosyć dziwną dziewczyną — zauważył, jakby tytułem wstępu.

— Wiem o tym. Dlatego znajduje się pod moją opieką. Ale powiedz to, co zamierzałeś. O co chodzi?

— Przypominasz sobie tę mumię, którą wydobyliśmy z ziemi w dwudziestym pierwszym.

— Oczywiście, że tak. Pamiętam dobrze.

— Pamiętasz imię?

— Imhotep.

Whemple znowu skinął głową.

— Tak, to był najwyższy kapłan w okresie panowania faraona Eje, w końcu Osiemnastej Dynastii. Nosił imię niezbyt rozpowszechnione. Nie przypominam sobie, żebym natknął się na nie gdziekolwiek w literaturze. A ty?

— Nie. Lecz co z tego?

— Helena Grosvenor wymówiła to imię nie więcej niż dziesięć minut temu, w salonie. Czy kiedykolwiek wymieniałeś je przy niej?

— Nie. Nigdy. Lecz powtórz, co dokładnie powiedziała?

— Nie słyszałem jej zbyt wyraźnie. Mamrotała coś niezbornie pod nosem. Ale to imię usłyszałem.

Naraz na biurku rozległ się telefon, nie pozwalając Mullerowi zadać następnego pytania. Whemple sięgnął po słuchawkę:

— Tak? — spytał i nagle jakby skamieniał. — Nie żyje... Jak to się stało? ...W porządku... Będę tam zaraz... — ciężko odłożył z powrotem słuchawkę.

— Co się stało?

— To z muzeum. Jednego ze strażników znaleziono martwego w galerii Anchesenamona.

Rozdział trzeci

Inspektor policji zezwolił im na wejście do galerii. Umundurowany lekarz policyjny oglądał ciało strażnika. Kończył już, gdy Muller i Whemple wkroczyli do sali. Inspektor czekał na wynik, ale lekarz w geście zakłopotania jedynie wzruszył ramionami.

— Na co zmarł? — spytał Muller.

— Na nic czego mógłbym być pewien po tych pobieżnych oględzinach.

— Atak serca?

— Być może. Lecz co mogłoby go wywołać?

— Może szok.

Whemple wolno rozejrzał się wokół.

— Czy zauważyliście, by coś zginęło? Zresztą, nawet jeśli tak się stało, to włamywacz będzie miał duży problem z upłynnieniem tego. To są przedmioty zbyt łatwe do zidentyfikowania.

— Znaleźliśmy to w dłoni strażnika, sir Josephie — inspektor zwrócił się do Whemple'a. Na te słowa Muller odwrócił się także. Policjant trzymał w ręku jakiś zrolowany dokument.

— Złodziej to wykradł, strażnik z kolei wyrwał mu to i wówczas złodziej go zabił — inspektor pociągnął nosem. — Najprawdopodobniej tak było.

Whemple, nie czekając, rozwinął zwój. Na jego twarzy wykwitł wyraz zakłopotania, gdyż w ogóle nie znał tego eksponatu. Osobiście katalogował każde znalezisko z grobowca Anchesenamona.

— Muzea na całym świecie mają do czynienia z takimi sytuacjami — stwierdził filozoficznie Muller. Podszedł do Whemple'a.

— Czy nie tak, Joseph?

Whemple skinął głową odruchowo, nie mogąc ciągle wyjść ze zdumienia nad faktem pojawienia się papirusu.

* * *

Frank przerwał w połowie zdania, niepewny, czy Helena znowu nie zamierza się z nim droczyć. Opowiadał jej właśnie o ekspedycji, o upale i dyskomforcie dwóch miesięcy na pustyni i swoistej łaźni parowej wewnątrz grobowca. Naraz grymas oburzenia wykwitł na jej twarzy.

— Zrobiłeś to! — wykrzyczała i nuta, jaka pobrzmiała w jej głosie w żadnym razie nie była żartobliwa.

— Sądziłem, że czytałaś o tym w gazetach — odparł tonem jakby nadąsanego chłopca.

— Jak mogłeś to zrobić?

Nie zbeczciliśmy tego miejsca — zaoponował. — Chcesz, żebym opowiadał dalej o królowej, czy nie?

Po chwili wahania Helena przyzwalająco pokiwała głową.

— Prowadziło tam w dół czternaście stopni — kontynuował Frank. — I wówczas natrafiliśmy na przedsionek z nienaruszonymi pieczęciami.

— Jak trafiliście w to miejsce?

— Dosyć fantastyczny uśmiech losu. O tym, gdzie szukać, opowiedział nam pewien dziwny człowiek o nazwisku Ardath Bey. No i zaczęliśmy kopać i znaleźliśmy — kompletny, niesplądrowany grobowiec, który zachował się w stanie nienaruszonym przez ponad trzy tysiące lat. Przedmioty osobistego użytku, jak stroje, przybory kosmetyczne i biżuteria pogrzebane zostały wraz z mumią. Lecz większość pozostałych rozmaitych przedmiotów umieszczono w komorze przedsionkowej. Ale najbardziej interesująca część opowieści zaczyna się od momentu, gdy przystąpiliśmy do otwierania trumny z mumią.

— Już więcej nie chcę słuchać. Sądzę, że to będzie odrażająca historia;

— Nieprawda. To było po prostu bardzo przejmujące przeżycie. Zajmowałem się już od kilku dni znalezionymi przedmiotami i zaczęło mi się wydawać, że dzięki nim poznałem królową. W pewien sposób, przynajmniej... Możesz to uznać za swego rodzaju nikczemność. Jednak wydaje mi się, że ważne jest też nastawienie do całej tej sprawy. To nie była z naszej strony, jakaś wynikająca wyłącznie z ciekawości próba ekshumacji zwłok, lecz raczej coś bardziej wzniosłego, bardziej jak akt wskrzeszenia. Będący zresztą w zgodzie z wierzeniami egipskimi. Właśnie dlatego Egipcjanie mumifikowali swoich zmarłych, żeby zachować ich ciała do dnia ponownych narodzin, kiedy dusza powróci do ciała. Czy rozumiesz?

— Nie. Jesteś archeologiem, a nie wskrzesicielem życia.

— Wiem, wiem. Ale tak to wyglądało. Może to co teraz powiem zabrzmi absurdalnie, ale kiedy odwinęliśmy bandażę i zobaczyłem jej twarz, nieoczekiwanie poczułem do niej coś w rodzaju miłości.

— Czy po to otwierasz grobowce, by znajdował w nich dziewczyny, w których mógłbyś się podkochiwać?

— Nie, kiedy jestem szczęśliwy, to nie...

Jej posępny nastrój nieco ustąpił i nawet się uśmiechnęła.

— Już wszystko w porządku. Opowiadaj dalej.

— Urodziła się około roku 1373 przed Chrystusem, była córką Echnatona i Nefertiti. Jej ojciec został uznany za heretyka. Dokonał zasadniczej zmiany w systemie religijnym Egiptu strącając z piedestału w panteonie bóstw Amona i nakazując wiarę i oddawanie czci Atonowi. Był to bardzo śmiały krok. Echnatona można by uznać za takiego przedchrześcijańskiego Henryka VIII. Tak czy owak oddał swoją córkę za żonę dobrze nam znanemu Tutanchamonowi, kiedy miała lat dziewięć czy coś koło tego — a więc w wieku „dosyć podeszłym” — i wtedy Tutanchamon, „już dojrzały”, bo liczący sobie wówczas piętnaście lat, przywrócił bogu Amonowi dawną pozycję. A w trzy lata później umarł. I tu się zaczyna najbardziej fascynująca część tej historii, Heleno. Trochę już ją poznałaś. Jesteśmy w starożytnym Egipcie,

gdzieś około roku 1352 przed Chrystusem. Anchesenamon została wdową i dziedziczką tronu w wieku dwunastu lat; bez syna, który byłby następcą, mąż nie żyje, dworskie koterie knują intrygi w podstępnej walce o tron. Nie każdy, kogo Anchesenamon by poślubiła stał by się automatycznie faraonem, i nasza, nazwijmy ją Anchy, inteligentna dziewczyna, zdaje sobie z tego sprawę. W porządku, cóż więc czyni? Co ty byś zrobiła?

Helena zmarszczyła czoło, zastanawiając się.

— Poślubiłabym mego kochanka.

— Och, nie miała żadnego.

— Ustanowiłabym więc republikę.

— Na ten wynalazek było jeszcze za wcześnie. Nie, Anchy rozejrzała się wokół siebie i spostrzegła dwóch współzawodniczących o jej rękę rywali, obu w takim zresztą wieku, że z powodzeniem mogliby być jej ojcami. Jeden z nich to Eje, drugi to Horemheb, dwaj przywódcy wilczego stada z dworu Tutanchamona. Eje był marszałkiem na dworze, Horemheb generałem. Cóż więc robi młoda królowa?

— Nie poślubia żadnego z nich.

— Och, widzę, że już znasz tę historię.

— No, więc udało ci się. Nie upodobała sobie ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego napisała list. Napisała do króla Hetytów, prosząc: „Wybierz dla mnie syna, któregokolwiek z twoich synów. Niech przybędzie do Teb, a ja uczynię go faraonem Egiptu, poślubiając.” Wspaniałe posunięcie, dające młodego męża i zapewniające sojusz militarny za jednym pościąganiem, doceniasz to?

— Ale ten pomysł nie wypalił...

— Zależy od punktu widzenia.

— No dobrze...

— Nie wypalił, gdyż Hetyci nie ufali Egipcjanom. Zresztą Hetyci nie byli wówczas odosobnieni w swoim sceptycyzmie. Egipcjanom nie ufano dosyć powszechnie, nie zasługiwali na to...

— Uważaj, co mówisz — przerwała Helena, przybierając grymas srogości. — Jestem pół-Egipcjanką.

— Naprawdę?

— Ze strony matki.

— Chyba domyślałem się czegoś takiego. Ale idźmy dalej... Znowu zagadka dla ciebie. Otóż, król Hetytów nie wysyłał syna bardzo długo, aż w końcu było za późno. Zgadnij co się stało?

— Coś mi się zdaje, że nie bardzo lubisz, kiedy odgaduję.

— Powiedz... — ponaglił Frank, tonem lekkiej przygany w głosie.

— Poślubiła jednego z tych starszych mężczyzn — odparła Helena. — Nie generała. Marszałka. Hetyta nic dostał jej nigdy.

— Nie, gdyż został zamordowany — oznajmił Frank, nadając swemu głosowi nutę melodramatyczną. — Najprzypuszczalnie z rozkazu Eje.

Helena przecząco pokręciła głową.

— Z rozkazu Horemheba. Z pobudek militarnych.

— Tego akurat nie udało nam się ustalić. Ale masz rację, gdy chodzi o Eje. Anchesenamon poślubiła go w roku 1352 przed Chrystusem, takiej przynajmniej daty się trzymamy. I wówczas stało się coś czego nie jesteśmy w stanie wyjaśnić do dzisiaj. Anchesenamon po prostu naraz zniknęła ze wszelkich wizerunków, reliefów. Zniknęła za kurtyną niepamięci, niczym stary Ardath Bey. Jakichkolwiek wzmianek o niej, żadnych wspomnień.

Frank przerwał na chwilę dla nadania głosowi tonu dramatycznej emfazy.

— I dopiero po roku pojawia się informacja o Anchesenamon. Wynika z niej, że już nie jest królową u boku Eje. Na grobowcu faraona został umieszczony wizerunek zupełnie innej

kobiety. Horemheb, następca zmarłego Eje w 1348 przed Chrystusem, nakazał usunięcie wszelkich wizerunków Anchesenamon podczas restauracji steli w grobowcu Tutanchamona. Najprzypuszczalnie miała romans z jakimś młodym kochankiem i popadła w niełaskę. Prawdopodobnie... Na pewno wiemy tylko to, że zmarła w 1351 roku przed Chrystusem. Ustaliliśmy to na podstawie badań mumii, a rok śmierci określiliśmy przeprowadzając rutynową analizę stanu uzębienia. Rozumiesz? Gdybyśmy jej nie znaleźli, nie wiedzielibyśmy, że Anchesenamon umarła młodo. Miała dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata. Ale co się z tobą dzieje?

Z oczu Heleny zaczęły wolno spływać łzy. Starła je energicznie dłonią.

— Powinienem cię przedzić, że to będzie dość dramatyczna opowieść — niepewnie wtrącił Frank.

— Była w moim wieku — zauważyła Helena. — To niesprawiedliwe umierać w tym wieku.

— Lekarze nie są w stanie orzec, co było przyczyną jej śmierci.

— Nie chcę więcej o tym rozmawiać — powiedziała Helena.

* * *

Muller usiłował skłonić Whemple'a do rozmowy, ale Whemple był nadal w stanie dotkliwego wstrząsu po zdarzeniu w muzeum. Siedział przygnębiony na tylnym siedzeniu taksówki i kurczowo ścisnął w dłoni Zwój Tota; sprawiał wrażenie, jakby nagle odkrył, że całe jego dotychczasowe życie było jednym wielkim snem, a perspektywa tego życia w jednej chwili uległa zawężeniu i to, co miało być jego treścią naraz okazało się marnością. Muller odczuwał współczucie dla tego człowieka, siedzącego obok niego, który mimo że młodszy, w jednym momencie stał się psychicznie kimś znacznie starszym.

Ale po chwili myśli Mullera ponownie powędrowały ku papirusowi. Być może później, wbrew klątwie, przyjrzy mu się uważnie. Lecz teraz chciał zrozumieć, dlaczego po jedenastu latach papirusowy zwój odnalazł się w kairskim muzeum i do tego w rękach zamordowanego strażnika. Odrzucił hipotezę inspektora policji o kradzieży; zwój nigdy nie był wystawiany, nie mógł więc być wykradzony. Ktoś w jakimś celu przyniósł go do muzeum, a ściśle do galerii Anchesenamon. Strażnik spłoszył go i tajemniczy intruz w panice porzucił papirus. Lecz w jakim celu zjawił się w muzeum? I czy to on zabił strażnika?

Z zamyślenia wyrwał naraz Mullera głos Whemple'a.

— Tak? — spytał, niezrozumiały.

— Na stole nie było kurzu... — powtarzał Whemple, zwracając się jakby do siebie. Spojrzał przenikliwie na okultystę. I nieoczekiwanie zapytał:

— Czy złodziej mógł zostawić piaszczyste ślady dłoni?

* * *

Frank Whemple zdawał sobie sprawę z własnej śmieszności, lecz nie był w stanie temu zaradzić. Cierpiał na coś, co Amerykanie określali syndromem niezamykających się ust. Był to stan częściowej utraty panowania nad własnym zachowaniem. Opowiadał Helenie Grosvenor takie rzeczy, jakby całkowicie stracił kontrolę nad sobą. Bez wątpienia Whemple w pełni władz umysłowych nie mówiłby podobnych i głupstw:

— Kiedy trzymałem cię w ramionach... Jestem w tobie zakochany... Wprawdzie znamy się tak krótko, ale to jest bardzo poważne...

Czy kiedykolwiek, będąc zupełnie zdrowy, pozwoliby sobie zwracać się do Heleny w taki sposób? Czy byłoby to w ogóle do pomyślenia? Mówił to wszystko, odbierając zarazem siebie jakby kogoś obcego. I wstydził się w głębi swych słów, gdyż pobrzmiwały jakimś sztucznym dialogiem z tandetnej hollywoodzkiej produkcji trzeciej kategorii. *Młodzieniec spotkał dziewczynę na schodach muzeum. Dziewczyna zdaje się być mocno onieśmiewiona.*

Scena następną: dziewczyna spoczywa na sofie w mieszkaniu młodzieńca. Po godzinie rozmowy (trzy minuty na ekranie) młodzieniec wyznaje dziewczynie swoją miłość, całuje ją namiętnie. Na razie wprawdzie Frank jeszcze się na to nie odważył, ale Bóg jeden raczy wiedzieć, kiedy w końcu dojdzie i do tego. Intensywność tych jego para-filmowych doznań była tak duża, że niewiele brakowało, by jednocześnie, gdy mówił, słyszał sekcję smyczkową, będącą obowiązkowym hollywoodzkim podkładem dla scen miłosnych.

Ale jeśli nawet był kimś w rodzaju Johny'ego Barrymore'a, to z całą pewnością Helena nie była wcieleniem Glorii Swanson. „*Nie oświadczaj mi się, dopóki nie zobaczysz mnie za dnia, gdy moje włosy całe będą w lokach*”, mówi Helena, nie-Helena przekornie. A na jego: „*Loki uczynią cię niezmiernie pociągającą*”, ona śmieje się perliście. Frank czuł się niczym klaun, jak jakiś głupi automat do wyrzucania banalnych kwestii w zupełnie niekontrolowany sposób. Słowa zjawiały się na jego ustach, zanim w ogóle zdołał je pomyśleć. Kompletny brak autocenzury, coś w rodzaju staroświeckiej, romantycznej paplaniny przelewanej w korespondencjach. Takiej na przykład jak: „*Jestem spragniony twych ust...*”

Usłyszał siebie jak pyta Helenę:

— Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

— Nie pytaj, bo rano będziesz miał to sobie za złe... — odpowiedziała przytomnie.

— Nie, nie będę. Jesteś najbardziej pociągającą dziewczyną, jaką poznałem w swoim życiu i wcale nie będę żałował.

Zaśmiała się ponownie.

— Jesteś bardzo miły.

— Ja nie chcę być dla ciebie kimś miłym. Chciałbym, żebyś mnie pokochała.

Milczała przez chwilę.

— Frank, nie bądź dziecinny. Przecież nie wiesz o mnie wszystkiego... Nic właściwie nie wiesz.

— Wiem tyle ile muszę.

— A wiesz, dlaczego trafiłam wieczorem do muzeum?

Pokręcił przecząco głową.

— Wcale nie chciałam się tam znaleźć. I to nie jest ani trochę zabawne. Naprawdę nie jest. Zupełnie straciłam wtedy kontrolę nad swoimi poczynaniami Frank. Jestem przerażona kiedy to się zdarza. A zdarza się często. :

— Ja też nie panuję nad sobą — wyszeptał Frank, całując jej dłoń. Cofnęła ją energicznie.

— Posłuchaj mnie! Ja naprawdę mówię poważnie!

— Ja też.

— Miewam okresy utraty świadomości. Dlatego stale jest przy mnie doktor Muller. Próbuje znaleźć przyczynę tego stanu. I dlatego nie mogę się z nikim wiązać, nawet gdybym, tego chciała. Jestem chora.

— Jesteś zdrowa — głos Franka Whemple'a zabrzmiał stanowczo, ale na jego twarzy wykwitł wyraz zakłopotania. Pochylił się niezbyt zgrabnie, czując zarazem niechęć do siebie, wziął ją w ramiona, przełamując jej nie do końca zdecydowany, na w pół tylko gniewny opór i przysunął usta do jej twarzy. Pocałował ją pierwszy, oczekując zarazem odpowiedzi jej tchnących ciepłem ust. Ale jej usta pozostawały zamknięte i nagle zdało mu się, że są znacznie bardziej chłodne niż jeszcze przed chwilą. Helena spokojnie, lecz zdecydowanie stawiała opór. Aż w końcu dał jej i spokój i wypuścił z ramion. Nie miał jednak czasu przeprosić jej, gdyż nieoczekiwanie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł jego ojciec wraz z doktorem Mullerem.

— Heleno — zawołał od progu Muller. — Wróć po ciebie za jakieś dziesięć minut. Panie Whemple, pański ojciec i ja chcielibyśmy porozmawiać z panem w gabinecie.

Istniał jakiś związek, Muller był tego pewien, między Imhotepem i Anchesenamom. Oboje żyli w czasach Osiemnastej Dynastii i zwój został znaleziony w tej samej sali, w której umieszczono mumię księżniczki. Istniał też związek, wierzył w to, pomiędzy odnalezieniem grobowca Anchesenamom, a incydem sprzed jedenastu lat, który doprowadził młodego Nortona do obłądu. O tym wszystkim zamierzał powiedzieć Frankowi. To właśnie Frank Whemple odkrył na pustyni nubijskiej grobowiec Anchesenamom, tak jak niegdyś jego ojciec stał się odkrywcą mummii Imhotepa, w dolinie Nilu. Czy istniał jakiś związek między tymi odkryciami? Czy była to tylko przypadkowa zbieżność dwóch odkryć dokonanych raz przez ojca, a raz przez syna i rozdzielonych w czasie jedenastoma latami. W jakiś sposób Muller wierzył w koincydencję różnych zdarzeń, trudną wprowadzić do racjonalnego wyjaśnienia, ale jednak zachodzącą. Jak na przykład wówczas, gdy dwaj matematycy dochodzą do takiej samej odpowiedzi, posługując się różnymi metodami. I nie ma nawet znaczenia, czy ta odpowiedź jest akurat fałszywa, czy prawdziwa.

Frank wyczekująco spoglądał na Mullera, chociaż jego oczy co chwila przeskakiwały to na zwój leżący na biurku, to na ojca, który siedział zamyślony, podpierając głowę rękami. Zdawał się być nadal wstrząśnięty wieczornymi wydarzeniami w przeciwieństwie do Mullera, sprawiającego wrażenie w pełni skoncentrowanego. Chociaż nie ulegało dla Franka wątpliwości, że to co zaszło, mogło chwilowo naruszyć równowagę każdego człowieka. Jego myśli znowu powędrowały ku Helenie. Ona zresztą stanowiła kolejną część tej złożonej układanki; ten jej stan transu i wizyta w muzeum. Lecz czy to należało do tej samej układanki, czy do zupełnie innej?

— Imhotep był człowiekiem współczesnym Anchesenamom — zaczął Muller stanowczym tonem.

Frank przerwał mu.

— Do czego pan zmierza, doktorze?

— Pański ojciec właściwie dopiero teraz zaczyna sobie zdawać sprawę ze wszystkiego... Jedenaście lat temu on i ja odkopaliśmy mumię w Dolinie Królów. Była to mumia najwyższego kapłana z czasów panowania Osiemnastej Dynastii. Nazywał się Imhotep.

— Ktoś wykradł tę mumię — wtrącił Frank. — Ojciec opowiadał mi o tym.

— Pańskiemu ojcu tylko się tak zdawało. Teraz już nie jest taki pewien. Nieprawdaż, Whemple?

— Nie wiem — odparł niepewnie Whemple. — Szczerze przyznaję, że nie wiem.

— Alternatywa może być przerażająca...

— Co pan ma na myśli? — spytał Frank, spoglądając jednocześnie na swego ojca — Czy to ma coś wspólnego z Heleną Grosvenor? Sądziłem, że będziemy rozmawiali o niej.

— Zaraz — zaproponował Muller. — Chciałem o coś zapytać. Jak doszło do odkrycia przez pana grobowca Anchesenamom?

— Wydawało mi się, że słyssał pan dostatecznie dużo na ten temat. Opowiadałem o tym nie raz. Po prostu ktoś wskazał nam, gdzie powinniśmy kopać. Był to pewien Egipcjanin.

Whemple spojrział w górę.

— Nazywał się Ardath Bey — powiedziałwszy to, sir Joseph wstał zza biurka. — Zapomniałem o tym wspomnieć. Kiedy dziewczyna zasłała, jakoś zapomniałem o tym spotkaniu. Widziałem tego człowieka w muzeum. Było to w kilka minut po dzwonku obwieszczającym zamknięcie. Zaproponowałem mu, by zechciał zejść ze mną na dół i spotkał się ponownie z Frankiem, ale on uchylił się przed tym, mówiąc, że nie ma czasu. To on musiał zabrać zwój — to musiał być on. I dzisiaj wieczorem powrócił do muzeum, by go oddać. Dlaczego, Muller? Dlaczego go oddał?

— Nie wydaje mi się, że wrócił, by oddać papirus. — Muller wolno cedził słowa. — Sądzę, że raczej zjawił się, by skorzystać w jakiś sposób z tego zwoju.

Helena, leżąc nadal na sofie, ponownie pograżyła się we śnie. Znajdowała się obok jakiejś fontanny i spoglądała w głąb alei utworzonej przez rząd smukłych cyprysów. Włosy miała upięte wysoko na głowie, tak by nie opadały na ramiona, chociaż zarazem czuła w ten sposób cały ich ciężar. Wywołało to u niej wspomnienie nużących ćwiczeń podczas pobytu w gimnazjum w Szwajcarii, kiedy to musiała chodzić w tę i z powrotem po szkolnym hallu z piramidą książek na głowie, tak by się nie zsunęły i nie upadły na podłogę. Frank stał w pobliżu niej, ubrany osobliwie w obcisłe, jedwabne bryczesy i kapelusz z piórkiem, który zamiast elegancji przydawał mu raczej śmieszności. Nie słyszała tego co zdawało się, mówił do niej, jak i nie widziała zbyt wyraźnie jego twarzy, ale była przekonana, że to właśnie Frank. Czuła go tak, jakby jej dłonie przeniknęły jego ciało i dotknęły serca. I być może nawet tak się stało. Uśmiechnęła się przez sen, wiedząc, że to co odczuwa dzieje się wyłącznie w sennym marzeniu, Uśmiechnęła się jeszcze raz, przywoławszy obraz zabawnie ubranego Franka..

Naraz otworzyła oczy i zarejestrowała, nawet nie doznając wstrząsu, wysokiego Egipcjanina w czerwonym fezie. Nieznajomy skłonił się przed nią, ona wyciągnęła przed siebie dłoń, opuszczając ją wolno, by przybysz mógł, zgodnie z egipską manierą, złożyć na dłoni pocałunek. Ale przybysz, zamiast pocałunku, złożył jeszcze jeden ukłon, Lecz nie odebrała tego jako niestosowności... Jednak trudno było jej stwierdzić, czy to wszystko działo się już na jawie, czy był to kolejny sen... Czuła jednak, że nie ma to znaczenia.

— Przepraszam po tysiackroć — powiedział mężczyzna, tonem nieco oficjalnym. — Przyszedłem tu, żeby spotkać się z sir Josephem Whemplem, nazywam się Ardath Bey.

Helenie jej własny głos zdał się jakby jakimś echem przybyłym z oddali; nie słyszała właściwie słów, jakimi przywitała gościa. Ardath Bey raz jeszcze skłonił się, po czym usiadł przed nią i zaczął się jej przyglądać. Poczuli się naraz tak, jakby była zupełnie naga, ale nie była tym zaambarasowana; bo wystarczyło spojrzeć by stwierdzić, że jest kompletnie ubrana.

— Czy nie spotkaliśmy się już wcześniej? — spytał Ardath Bey i Helena zobaczyła, że jej dłoń drgnęła nieoczekiwanie; „Nie, nie spotkaliśmy się nigdy”, pomyślała. „Przecież musiałabym go zapamiętać”. Była przekonana, że pamiętałaby Ardatha Beya.

— Musiałem się pomylić — wycofał się przybysz. — Ale wydaje mi się, że w pani żyłach płynie egipska krew, czy się nie mylę...

Zdziwiło ją, jak mógł się tego domyśleć. Jej wargi poruszyły się bezgłośnie w odpowiedzi, a jednocześnie spostrzegła jego wzrok analizujący uważnie ułożenie jej warg, tak jakby pragnął odczytać z nich odpowiedź.

Powiedział do niej kilka słów w języku, którego nie rozumiała, co przekazała mu przeczącym ruchem głowy. Ojciec nigdy się nie zdecydował nauczyć jej arabskiego. Ardath Bey zdawał się być rozzarowany. To rozzarowanie rozpoznała po nagłym zmętnieniu jego oczu, w których natychmiast rozmyło się odbicie jej sylwetki. Ale naraz spojrzenie mężczyzny znowu odzyskało ostrość i Helena ujrzała w źrenicach Egipcjanina refleks odbicia trzech sylwetek.

Usłyszała głos ojca Franka dokonującego prezentacji.

— Ardath Bey... Doktor Muller... — głos wydawał się być napięty, jakby jego właściciel z wysiłkiem ukrywał drżenie. Helena zamierzała się odwrócić, by ujrzeć sir Whemple'a, ale wygodniej było śledzić odbicie postaci w oczach Beya.

— Zdecydowałem się przyjąć pańskie zaproszenie — wyjaśnił Ardath Bey — ale odnośną wrażenie, że moment wizyty nie jest nadto fortunny.

Doktor Muller pośpieszył z odpowiedzią.

— Tak się składa, że właśnie rozmawialiśmy o panu. Otóż, sir Joseph wciąż się zastanawia, w jaki sposób dowiedział się pan, gdzie jest ukryty grobowiec Anchesenamon.

— Po części dedukcja, po części przypadek. Wydaje się pan rozstrojony, sir Josephie.

— Tak. To ta tragedia w muzeum. Po pańskim wyjściu.

Helena, wstając, poczuła się tak, jakby była pijana. Zdarzyło się jej upić raz w życiu, było to w szkole w Szwajcarii. I teraz tamto doznanie powróciło. Jakby brak kontaktu z ludźmi i z otoczeniem — tak, jakby chwilowo przynajmniej część jej umysłu oddzieliła się od ciała i odleciała gdzieś daleko. I tak jakby akurat właśnie ta cząstka umysłu stanowiła czasowo całą jej osobę. I jakby chciała wiedzieć, co zaszło w muzeum po tym, jak została odwiedzona do domu sir Whemple'a. Ale ta przytomna cząstka jej umysłu zdawała się chcieć znowu pograżyć we śnie. Dziwiło Helenę, że nikt nie zwracał uwagi na ten jej stan.

— Kiedy pani znalazła się w muzeum, panno Grosvenor? — zapytał nieoczekiwanie dla wszystkich Ardath Bey. Jego głos ożywił się. — Kiedy to było?

Jak cudownym uczuciem, odkryła to nieoczekiwanie, było mówienie nie wymagające więcej wysiłku ponad samo pomyślenie. Nie pamiętała dokładnie, kiedy udała się do muzeum, a już zupełnie tego, co w nim robiła, i tak w ogóle to nie wiedziała niczego o tej wyprawie. Tyle tylko, ile jej opowiedziano. Było to podobno już po zamknięciu muzeum, kiedy masywne drzwi prowadzące do środka zostały zamknięte. Helena próbowała coś wyjaśnić, zdając sobie zarazem sprawę, że jej niewypowiedziane przecież słowa do nikogo nie trafiają. Ale czuła przyjemność płynącą z takiej rozmowy. Mogła ją prowadzić nawet całą noc, nie męcząc się wcale.

— Heleno — odezwał się doktor Muller. — Jest już naprawdę późno. Panie Whemple, czy byłby pan tak dobry i odwiózł Helenę z powrotem do Semiramidy.

Biedny Frank, na pewno pragnąłby ją odwieźć. Ale ona nie chciała się ruszać z tego miejsca. Chciała tu zostać. Muller mówił, że wymaga odpoczynku. Nie potrzebowała wypoczywać, nawet sekundy więcej. Może przedtem tak, ale nie teraz. Teraz poczuła naraz w sobie tyle sił, jak nigdy dotąd.

— W takim razie, jako twój lekarz będę musiał nakazać ci wypoczynek — uznał stanowczo doktor Muller.

Tak po prostu. Rozkazano jej. Tak, jakby doktor Muller zupełnie nie liczył się z jej uczuciami. Wszyscy traktowali ją niczym dziecko i była tym dotknięta. W odwecie miała szczyry zamiar utrząść komuś nosa.

— Proszę, Heleno. — Tym razem Frank dotknął jej ramienia.

Ardath Bey spojrzał w górę i odwrócił głowę. Obraz, który obserwowała w jego oczach zniknął w jednej chwili, nie mogła już ujrzeć nikogo i niczego. Innym razem, Ardathcie Beyu — pomyślała. Musi zobaczyć go znowu. Wyciągnęła po raz drugi dłoń do Ardatha Beya, ale on i tym razem nie ucałował jej, lecz zaledwie się skłonił.

— Będę zaszczycony mogąc zobaczyć panią innym razem, panno Grosvenor — powiedział.

* * *

W gabinecie Muller zajął miejsce w fotelu naprzeciw Ardatha Beya. Był skoncentrowany tak mocno, że słyszał nawet szelest kartki papieru znajdującej się w kieszeni jego marynarki. I widział wyraźnie migocące oczy Egipcjanina. On też usłyszał ten szelest. Muller skoncentrował się jeszcze bardziej, walcząc z doskwierającym mu zmęczeniem. Postanowił wyzwąć Ardatha Beya na pojedynek i czuł, że jego przeciwnik już o tym wie. Tylko Whemple nic nie wiedział, niczym ostatni żołnierz reduty pod sztandarem rozsądku usilnie starał się nie dopuścić do siebie czegokolwiek, co nie dałoby się wytłumaczyć w kategoriach racjonalnych. W przeciwieństwie do Mullera, który zdawał się być w pełni świadom konsekwencji czekającego go starcia. Wiedział, że musi zniszczyć przeciwnika, którego miał teraz przed sobą. A z nim te siły, które go otaczały. Nawet jeśli to będzie zwycięstwo pyrrusowe. Musi zwyciężyć za wszelką cenę. Przedtem jednak musi rozpoznać wroga. Musi...

— To, co zdarzyło się w muzeum jest trudne do wytłumaczenia — rozpoczął Muller,

zamierzając wciągnąć Ardatha Beya do rozmowy. — Strażnik został zabity, a ten kto to zrobił przyniósł dar dla muzeum...

Ardath Bey wyraził tylko ledwo uprzejme zainteresowanie.

— Dar?

— Zwój papirusowy — kontynuował beznamiętnie Muller. — Jego fragment został skopiowany i odczytany jedenaście lat temu, kiedy po raz pierwszy go odnaleziono.

Muller wstał z fotela i wyciągnął z kieszeni kartkę z transkrypcją zrobioną niegdyś przez Nortona.

— Sir Joseph sądzi, że będzie to interesujące dla pana, jako człowieka zajmującego się między innymi starożytnościami.

Egipcjanin rzucił pobieżne spojrzenie na kawałek papieru.

— Zbyt starych zapisów nie jestem w stanie odczytać.

Zanim Muller odezwał się, do rozmowy wtrącił się Whemple.

— Frank opowiedział mi, że odczytał pan kartusz Anchesenamon umieszczony na fragmencie jakiejś wazy. Wyglądało to podobno tak, jakby wiedział pan z góry, gdzie należy kopać.

— Tak mniej więcej było — przyznał Ardath Bey.

— Ale wydaje mi się, że Anchesenamon pochodziła z Osiemnastej Dynastii, natomiast tutaj, zdaje się, mamy do czynienia z ideogramami predynastycznymi.

Znowu głos zabrał Muller.

— Papirus, którego kopię właśnie trzymam, został odkryty jedenaście lat temu wraz z mumią najwyższego kapłana Imhotepa. Czy słyszał pan może o nim?

— Prawdopodobnie... — Bey rzucił krótkie spojrzenie na Whemple'a. — To brzmi bardzo interesująco. Mógłbym obejrzeć ten zwój, sir Josephie?

— Zostawiliśmy go w muzeum — pośpieszył z wyjaśnieniem Muller.

— Sir Joseph i ja uznaliśmy, że jest zbyt cenny, by zabierać go ze sobą. Znajduje się w muzeum, gdzie jest dobrze strzeżony. Może zechciałby pan obejrzeć go jutro rano. — Ardath Bey nie odpowiedział. — Tymczasem — ciągnął Muller — sądzę, że mogłoby pana zainteresować... to...

I wyciągnął fotografię mumii Imhotepa, którą Norton zrobił bezpośrednio po odwinięciu bandaży, przed jedenastu laty. Pokazywała groteskowo wykrzywioną twarz kapłana. Tło stanowiła ciemna powierzchnia wyschniętego drewna skrzyni trumiennej. Egipcjanin studiował fotografię przez chwilę.

— Dlaczego pan mi ją pokazuje?

— Ciało nie zostało zabalsamowane. Mózg, nie tknięty, pozostał wewnątrz czaszki. Zastanawialiśmy się, czy kiedykolwiek spotkał się pan z takim przypadkiem?

— Chowano tak niekiedy...

— Ten człowiek został pogrzebany żywcem za świętokradztwo. Za próbę wskrzeszenia, Ardathcie Beyu.

— To się zdarzało niekiedy...

— Za próbę przywrócenia do życia królowej Anchesenamon — mówił dalej Muller. — Imhotep usiłował wykorzystać Zwój Tota do wskrzeszenia Anchesenamon, lecz bez powodzenia.

— Oczywiście.

Tylko jedno słowo w odpowiedzi, ale bez nuty niepokoju w głosie. Muller jednak postanowił nie ustępować.

— I z tego powodu został skazany na wieczny cierpienie.

— Z pewnością na cierpienie — beznamiętnym tonem potwierdził Ardath Bey.

— Czy wierzy pan w boską moc Zwoju Tota? — naciskał Muller.

— A pan?

— Tak. Wierzę, że jest możliwe ponowne złączenie ciała i duszy. Lecz nie jestem pewien, czy taka fuzja nie zrodzi czegoś monstrualnego i odrażającego. To mogłaby nie być już ta sama Anchesenamón.

Przez ciało Ardatha Beya przeszła fala drżenia. Gdy zaczął mówić, jego głos zdradzał silne wewnętrzne napięcie.

— Ale i tak znacznie bliższa tej żyjącej. Znaczniej bliższa niż owinięte, wysuszone ciało w muzeum, taki mi się wydaje.

— Nie można jednak dokonać tego bez zwoju — zauważył bez emocji Muller. — Każdy, kto jest w posiadaniu zwoju, posiada taką moc.

— Są jeszcze inne rodzaje mocy... — zripostował beznamiętnie Ardath Bey. I skłoniwszy się nisko, opuścił gabinet.

* * *

Frank zaparkował przed pełnym przepychu frontonem Hotelu Semiramidy i wyłączył silnik. Przez całą drogę Helena była spokojna, zupełnie pogrążona w siebie. Frank czuł, że dziewczyna intryguje go coraz bardziej, stanowiąc teraz większą tajemnicę niż na początku ich znajomości, to jest zaledwie kilka godzin wcześniej. Był nią zafascynowany i chciał wiedzieć o niej więcej. To na przykład, dlaczego jej nastrój zmienił się diametralnie od czasu, gdy ją zostawił, by porozmawiać z doktorem Mullerem, do chwili, gdy wrócił, zastając ją z Ardathem Beyem? Usilnie pragnął dowiedzieć się, która Helena, z tych, jakie dotąd poznał, była tą prawdziwą — kokieteryjna, trochę kpiarska, roześmiana dziewczyna, którą całował na sofie, czy może ta daleka, prawie zupełnie nieobecna myślami, siedząca obok niego w samochodzie. Odwrócił się, by spojrzeć na nią w nadziei, że może jednak uda mu się uzyskać odpowiedź. Zaskoczyła go, odzywając się. To, co powiedziała i ekspresja, jaką w to włożyła, zdziwiły go jeszcze bardziej.

— Wiesz o czym marzę? — zaśmiała się niespodziewanie. — Chciałabym siedzieć tutaj przez całą noc, rozmawiać i patrzeć jak Nil zmienia swoje kolory, od czerni przez kilkanaście odcieni szarości, żeby w końcu stać się zielonkawo-niebieskawym.

— Nie widzę przeszkód, żebyśmy tu zostali — niepewnie odparł Frank.

— Wydaje mi się, że wiem, dlaczego nie widzisz przeszkód — roześmiała się, a jej śmiech ucieszył Franka. Naraz poczuł, że Helena wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

— Nie mów teraz nic, Frank. I nie rób nic. Nie chcę żebyś mnie całował w tej chwili... — powiedziała niezbyt kategorycznym tonem. Frank, zamierzając coś odpowiedzieć, otworzył usta, ale Helena zamknęła je, kładąc palec na jego wargach.

— Dziękuję ci... — wyszeptwała.

— Czy mogę teraz coś powiedzieć?

— Tylko jedno zdanie.

— Za co mi podziękowałeś?

— Za to, że jesteś moim przyjacielem. Nie jestem w stanie wytłumaczyć ci, jakie to dla mnie ważne. Bardziej potrzebuję przyjaciela, niż kochanka. I przestań się dąsać. Wcale nie twierdzą, że jeden i drugi wykluczają się wzajemnie. Ale na razie pozostaniemy przy jednym. W porządku?

— Niczego nie rozumiem...

— Czego nie rozumiesz?

— Ciebie. Przedtem chciałeś zostać tam. Z nim. Twoje nastroje zmieniają się co chwilę.

— Opowiadałam ci już o tym. Teraz powiem jeszcze coś. Nigdy więcej nie chcę spotkać tego człowieka.

— A powiedziałaś mu, że chciałyś go znowu zobaczyć — stwierdził markotnie Frank. — Powiedziałaś mu to. Słyszałem, Heleno.

— Nieważne zresztą, w co chcesz wierzyć — rzekła. Mówiąc to, zadrżała lekko, lecz

nie uszło to uwadze Franka.

— Zaakceptuj mnie taką, jaka jestem, bądź nie akceptuj wcale.

Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę hotelu. Frank odprowadzał ją wzrokiem, aż zniknęła w środku.

* * *

Frank wrócił do domu w niezwykłym nastroju i kładąc się do łóżka, pogwizdywał. Sir Whemple zastanawiał się nad przyczyną tego beztroskiego pogwizdywania. Niezwykłość takiego zachowania u Franka, prawie że wyzwoliła w nim chęć do głośnego śmiechu, lecz jakiś nieokreślony impuls strachu, jaki odezwał się w nim, powstrzymał go. Podszedł do ściennego schowka w swoim gabinecie, wyjął z niego zwój i wolno zaczął go rozwijać. I wówczas coś się stało z jego umysłem. W głowie zaczęło mu silnie pulsować i naraz przepełnił go dziwny lęk. W bólu głowy nie było nic szczególnego, ale strach coraz częściej stawał się jego towarzyszem. Strach i czasowa utrata zdrowego rozsądku. Tak jak właśnie teraz, kiedy poczuł się niczym dziecko pozostawione w ciemnym domu, krzyczące z przerażenia, a zarazem mające prawie w zasięgu ręki przełącznik światła. Ten przełącznik znajdował się nie gdzie indziej, tylko w głowie Whemple'a; bardzo blisko, był tego pewien. I gdyby tylko mógł sięgnąć po ten przełącznik rozsądku, lęk prysnąłby natychmiast. Poczulby się bezpieczny i nawet mógłby śmiać się z całej tej sytuacji. I to śmiechem wcale nie przypominającym niegdysiejszego śmiechu Nortona. Nagle dojmujący ból głowy niespodziewanie zelżał i Whemple przez małą dziurkę w mrocznej zasłonie cierpienia dostrzegł upragniony przełącznik światła, które mogło rozproszyć koszmarnie cienie spowijające jego umysł. Tego światła mógł dostarczyć tylko ogień! Należało tylko spalić zwój... Muller zresztą nalegał już wcześniej, by oddać papirus płomieniom. Whemple przypomniał sobie, jak się temu sprzeciwiał, argumentując, że manuskrypt nie stanowi jego osobistej własności, lecz należy do muzeum. I zniszczenie go będzie przestępstwem. Muller, z właściwą sobie nieustępliwością, zdawał się w ogóle nie przyjmować tego argumentu. I nie zdążyli rozstrzygnąć problemu, gdyż akurat usłyszeli głos Ardatha Beya w sąsiednim pokoju. Muller szybko schował papirus, uznawszy, że tak będzie bezpieczniej, a wyciągnął z niego kartkę z dokonaną przez Nortona transkrypcją oryginalnego tekstu i fotografię. Norton... Jak dawno to miało miejsce? Jedenaście lat... Frank jeszcze chodził do szkoły... Przez jedenaście lat Whemple całkowicie zaakceptował kłamstwo, aż w końcu dziś został zmuszony do odrzucenia go.

Nieoczekiwanie ból, dotąd drążący wyłącznie głowę, wysączył się z niej i przez okolice obojczyka powędrował wprost ku sercu, w którym utkwiał i eksplodował niczym pocisk. Whemple zacisnął wargi aż do krwi i z najwyższym wysiłkiem ruszył w stronę kominka, na którym spodziewał się znaleźć pudełko z zapalnikami. Znalazł je i przyklęknął, żeby zapalić jedną. I wówczas papirusowy zwój zaczął drzeć w jego dłoni. Whemple, niczego nie rozumiejąc, działał już właściwie tylko odruchowo. Z niebywałym mozołem otworzył pudełko i wyciągnął z niego zapalnik. To chyba wiek, pomyślał, nie mogąc poradzić sobie z zapaleniem. Brakowało mu sił, by wystarczająco energicznie pociągnąć łebkiem zapalnika po pudełku, zużywał jedną po drugiej, bezskutecznie. Nie był pewien, czy starczy mu zapalek i nocy...

Nagle targnął nim gwałtowny spazm agonii i Whemple stracił równowagę. Wyciągnął przed siebie ramiona, żeby zamortyzować siłę upadku i zarazem przycisnął papirus do serca. Ale zrobił to wiedziony już tylko instynktem, nie pamiętając zupełnie skąd się wziął przy nim manuskrypt i pudełko zapalek w dłoni. Teraz co innego było ważne. O wiele bardziej. Rozpaczliwie!

Powietrze!

Nie mógł złapać tchu.

Próbował wstać, by wziąć z kominka jeszcze jedno pudełko... Zaczął się dusić... A między nim, a oknem rozciągały się setki mil pozbawionej powietrza pustyni... Ostatnim wysił-

kiem rozdarł jeszcze kołnierzyk koszuli, żeby dać sobie kilka sekund więcej. Ale do jego gasnącej świadomości dotarło już, że przegrał...

Rozdział czwarty

Frank Whemple zdawał sobie sprawę, że powinien odczuwać szok i rozpacz, ale jedynym, czego faktycznie doznawał było poczucie winy z powodu zupełnej pustki emocjonalnej. Wraz z towarzyszącym mu poczuciem niewiary we wszystko. Miał wrażenie zupełnej nierzeczywistości całej tej sprawy z papirusem i Ardathem Beyem. Czy znaczyło to, że jego własny umysł znajduje się w niebezpieczeństwie? Podejrzywał, że podobnie jak i Helena, nie może w pełni polegać na swoim poczuciu rzeczywistości! Helena opowiadała mu poprzedniej nocy o śnie łączącym się z jawą do takiego stopnia, że jedno przenika drugie i jest nie do odróżnienia. Ta refleksja nieco go uspokoiła, ale przez całą minioną noc było z nim o wiele gorzej. Łapał się na tym, że wpatruje się w drzwi pokoju w oczekiwaniu, że pojawi się w nich ojciec. Ale jego ojciec nie żył przecież. Ambulans zabrał go już do kostnicy, gdzie patolog miał dokonać sekcji zwłok, by ustalić przyczynę śmierci. Choć doktor Briggs właściwie już postawił diagnozę: zawał serca. Pięćdziesiątka to groźny wiek dla mężczyzny.

Atak serca przydarza się w nim często, i to bez jakiegokolwiek wcześniejszego ostrzeżenia. Doktor Muller zgodził się z tą diagnozą, ale Frank wyczuł w tonie jego głosu sporą dawkę rezerwy.

Muller zabrał się do przerzucania popiołu, jaki pozostał po małym ognisku w gabinecie sir Whemple'a. Zamiast próbować podnieść Franka na duchu po stracie ojca, intensywnie prowadził jakieś swoje śledztwo. Wydało się to Frankowi nieco niestosownej przynajmniej w tym momencie.

— Gazeta — wymruczał naraz Muller.

— Co?

— To jakby taka gazeta. Ten zwój papirusowy... — Muller wyjął niewielki kieszonkowy mikroskop i rozpoczął analizowanie spopielenych kawałków z paleniska. — Mówiąc precyzyjniej, to taka „Gazeta Egipska”. Czy nie spostrzegłeś niczego niezwykłego dzisiejszego ranka?

— Mój ojciec leżał martwy na podłodze — odparł Frank sarkastycznie.

— Daj spokój ironii — Frank przyjął uwagę Mullera skinieniem głowy. — Gdzie jest zwój?

— Nie wiem. Przypuszczam, że w sejfie.

— Sprawdźmy...

Stracili dużo czasu na poszukiwaniu klucza. Najpierw myśleli, że być może znajduje się ciągle w kieszeni sir Whemple'a. Już zamierzali udać się do kostnicy, kiedy Frank przeszukał jeszcze szufladę biurka. I znalazł klucz, który leżał skryty pod stertą papierów.

Właściwie żaden z nich nie był szczególnie zdziwiony, kiedy się okazało, że w sejfie nie ma zwoju. Muller, bez specjalnego przekonania przeszukał jeszcze gabinet i po niedługim czasie dał sobie spokój.

— Ma go Ardath Bey — stwierdził lakonicznie. — Ciekawe tylko, jak wszedł w jego posiadanie?

— Być może Nubijczyk, Selim, zabrał zwój.

— Gdzie on jest?

— Nie wiem. Nie było go dzisiaj rano. Towarzyszył memu ojcu przez lata. Przypu-

szczam, że znalazł ojca i wpadł w panikę. Z pewnością wróci.

Muller wyglądał na głęboko zamyślonego.

— Starożytna krew — powiedział.

— Chwileczkę, doktorze Muller. Nic z tego nie rozumiem. Co tak istotnego znajduje się w tym papirusie? I co Ardath Bey zamierza z nim zrobić?

Zamiast odpowiedzi, Muller wyjął z kieszeni niewielki przedmiot. Był to amulet ze srebrnym łańcuchem. Frank na pierwszy rzut oka rozpoznał w nim noszony przez starożytnych Egipcjan symbol życia, mający odwracać złe moce. Na amulecie w kształcie krzyża Frank dostrzegł wizerunek bogini Izydy. Muller zwrócił się do niego:

— Przyniosłem go z myślą o twoim ojcu. Sądzę, że teraz ty powinienesz go założyć.

— Nie chciałbym pana urazić, doktorze Muller, ale jestem wyznawcą bardzo racjonalistycznej szkoły, która zakłada, że jedyną mocą, jaką może mieć taki przedmiot, jest moc odchylenia toru pocisku. I to bardzo nieznacznego odchylenia. A nie spodziewam się, by ktoś miał wkrótce do mnie strzelać.

— Weź to mimo twojej niewiary. Chociażby dlatego, żeby wyświadczyć mi zaszczyt.

— A dlaczego w takim razie nie miałyby to być na przykład krucyfiks? Może równie dobrze chroni przed wszelkimi demonami.

Muller odpowiedział bez szczypty sarkazmu:

— To nie jest zbyt proste do wytłumaczenia — zwrócił się do Franka z nieznacznym uśmiechem twarzy, będącym wyrazem przekonania. — Krucyfiks nie pomoże w tym przypadku...

* * *

Helena podkarmiła swego psa Wolframa smakołykami z własnego śniadania, gdy rozległ się telefon. Zanim podniosła słuchawkę w odruchu urodzonej elegantki owinęła się szczelniej, szlafrokiem, by samej sobie prezentować się lepiej podczas rozmowy. Podniesienie słuchawki na chwilę opóźnił jeszcze owczarek alzacki, który wykorzystawszy jej zaabsorbowanie, śmiało zabrał się do pozostałości śniadania na jej talerzu.

— Oportunista — ze śmiechem skarciła psa. Była w pogodnym nastroju po nocy nieszkodliwych, a nawet po trosze sympatycznych snów. Przypominała sobie tylko jeden z nich, w którym ona była średniowieczną damą, natomiast Frank rycerzem. Na swojej rycerskiej tunice nosił czerwony krzyż i ucałował jej dłoń; najprzypuszczalnie był to moment przed wyruszeniem na wyprawę krzyżową. Miała pewność co do tego, że postacią ze snu był Frank Whemple, chociaż jako krzyżowiec nosił gęstą brodę, która dosyć dokładnie zmieniała mu twarz. Zastanowiło ją to, że Frank tak szybko i tak wyraziście pojawił się w jej śnie. Dotąd powstanie tego rodzaju impresji w jej umyśle wymagało znacznie dłuższej znajomości z mężczyzną. To był dowód, że wręcz desperacko potrzebowała przyjaźni kogoś tak młodzieńczego, jak Frank i zarazem, jak on prostolinijnego. Mógł on stanowić znakomite antidotum na surrealny świat, w jakim przyszło jej przebywać w ostatnich dniach. Odnosiła wrażenie, że może na nim polegać i czuć się przy nim bezpieczna. Porównała go z Ardathem Beyem, który bez wątpienia fascynował ją i zniewalał i przyciągał ku sobie, ale na sposób, w jaki wąż jest w stanie zniewolić królika. Ardath Bey był niczym dwa bieguny magnesu: przyciągał i odpychał zarazem. I jej reakcja też była jakby dwubiegunowa, dwuznaczna.

Natychmiast rozpoznała w słuchawce głos Franka, zamierzając trochę się z nim podroczyć, ale coś w tonie, jakim zwrócił się do niej, powstrzymało ją. Kiedy oznajmił, że jego ojciec nie żyje, na krótko zamilkł, co dało Helenie czas na zebranie myśli i jakąś sensowną odpowiedź. Cisza przeciągała się niemiłosiernie i ciążyła jej, aż w końcu zebrała się i powiedziała:

— Frank, cokolwiek powiem w tej sytuacji, zabrzmie banalnie. Jak to się stało, jeśli możesz mi powiedzieć?

Jego głos ledwo przesączał się przez szum w słuchawce. Na linii pojawiły się zakłócenia.

— To był atak serca. Doktor Muller jest ze mną;

I po chwili dodał:

— Heleno, czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebyśmy się spotkali?

Pytanie Franka wydało się jej w tej sytuacji nieco dziwne. Miał przecież przed sobą przygotowania do pogrzebu, musiał o śmierci ojca poinformować wszystkich krewnych i znajomych. To nie był czas na spotkania. Ponadto, Helena pomyślała, żal i smutek po stracie kogoś bliskiego był uczuciem tak osobistym i intymnym, że należało je przeżywać w samotności. Jeśli nawet w takich chwilach ludzie dzielili swoją rozpacz z innymi, to z takimi, którzy byli ich bliskimi. A nie jedynie znajomymi. Helena zaniepokoiła się. Nie zamierzała stać się wsparciem dla Franka. Nie była zresztą przekonana, że w ogóle potrafiłaby.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie zamierzam nigdzie wychodzić. Będę czekała na ciebie.

Helena, zanim odłożyła słuchawkę, usłyszała w tle głos doktora Mullera, choć nie mogła wyłowić słów. Tymczasem odezwał się Frank:

— Heleno, doktor Muller twierdzi, że to bardzo: ważne, żebyś pod żadnym pozorem nie wychodziła z hotelu. Będziemy u ciebie obaj za jakieś dwadzieścia minut. Zaczekaj jeszcze sekundę.

Na moment zapadła cisza.

— Jesteś tam jeszcze, Heleno?

— Tak, Frank. Daj na minutę słuchawkę doktorowi Mullerowi.

Muller odpowiedział prawie natychmiast.

— Obiecuj mi, Heleno, że będziesz czekała.

— Dlaczego? Co się dzieje?

— Chcę, żebyś mi to obiecała, Heleno.

— Zgoda. Obiecuję. Ale...

Słuchawka z drugiej strony została odłożona.

* * *

Dotarcie do hotelu zabrało im ponad pół godziny. Kuch uliczny wzdłuż całej Sharia el Koubri był wyjątkowo duży i sznur samochodów na skrzyżowaniu Grand Pont de Kasr-en-Nil całkowicie zablokował skręt w Midan el Hami. Wysunąwszy głowę przez szybę, Frank mógł dojrzeć widoczny z oddali dach Hotelu Semiramidy, ale dojazd do niego musiał zabrać jeszcze co najmniej pięć minut. Frank niecierpliwił się, lecz z innego powodu niż doktor Muller. Niecierpliwił się gdyż raz, nienawidził w ogóle ruchu ulicznego, a dwa, że pragnął po prostu ujrzeć Helenę Grosvenor w świetle dnia i może w lepszym niż poprzednio nastroju. Niepokoił się bardzo. Podobnie jak doktor Muller, który co chwila nerwowo spoglądał na zegarek.

— Ciągle nie rozumiem, dlaczego pan, doktorze! tak się denerwuje — zauważył Frank.
— Helena powiedziała mi ostatniej nocy, że wcale nie zamierza spotkać się z nim kiedykolwiek.

— Zapewne jednak widziałaś ich, kiedy byli razem?

— I co z tego? Czy myśli pan, że on będzie chciał ją porwać?

— Uważaj lepiej, bo wjeżdżasz na chodnik... — stwierdził spokojnie Muller.

Kiedy dojechali do hotelu, Muller, nie chcąc tracić; czasu w oczekiwaniu na windę, pognął na górę po schodach. Zmęczył się bardzo, chociaż pokój Heleny znajdował się zaledwie na trzecim piętrze. Gdy zadzwonił, nie usłyszał odpowiedzi, natomiast zza drzwi dobiegło do jego uszu szczykanie psa.

— To Wolfram — Muller rzucił do Franka. — Był kiedyś psem policyjnym. Waży prawie tyle, co ty.

Zaczął walić pięściami w drzwi, ale jedyną odpowiedzią było jeszcze intensywniejsze szczekanie psa.

W chwilę potem Frank ruszył szybko na dół, przeskakując po dwa stopnie, żeby przynieść z recepcji klucz. Chwile ciągnęły się dla niego niemiłosiernie, kiedy recepcjonista szukał dyrektora hotelu, który, jako jedyny mógł wydać zgodę na przekazanie klucza do pokoju komuś obcemu. Następne sekundy minęły na wyjaśnianiu dyrektorowi intencji Franka. W końcu zgodził się i Frank błyskawicznie pognał na górę. Był cały spocony, kiedy znalazł się przed drzwiami. Nie lepiej wyglądał Muller, który zdawał się być bliski paniki. Drzwi otworzył Frank.

Wyskoczył zza nich pies, który momentalnie zarzucił swoje wielkie łapy na ramiona Mullera i energicznie zaczął machać ogonem. W pokoju, na pierwszy rzut oka, nie było widać oznak jakiegokolwiek szamotaniny, ponadto spokój psa był dodatkowym dowodem, że wobec Heleny nikt nie użył przemocy. Ale po dłuższej chwili rozglądania się Frank i doktor Muller spostrzegli porzucaną po pokoju nocną bieliznę Heleny. Do tego filiżanka na tacy z zastawą śniadaniową była przewrócona. Jednak nie zrobił tego pies.

— Co pan o tym sądzi? — spytał Frank.

— Nie było tutaj nikogo innego poza Heleną. Zastanawiające, że niezależnie od tego dokąd poszła, nie wzięła ze sobą psa.

— Powiedziała, że będzie czekała.

Muller skinął głową.

— Wiem, że to powiedziała. Jednak, Frank, czasami Helena robi pewne rzeczy niezależnie od swoich intencji. To, co zdarzyło się minionej nocy — kiedy rozpaczliwie starała się dostać do muzeum — nie było niczym niezwykłym dla niej.

— Wiem o tym. Powiedziała mi wszystko. Zresztą, mniejsza o to.

Muller położył dłoń na ramieniu Franka.

— Jestem szczęśliwy, że tak uważasz. Ona potrzebuje kogoś takiego jak ty. Jest to jeden z powodów, dla których chciałbym żebyś nosił amulet, możesz śmiać się z tego, żartować — ale noś go — noś go dzień i noc. I możesz mnie zarazem traktować jak starego głupca,

— Dlaczego jest mi potrzebny?

— Nie wierzyłeś mi, kiedy mówiłem o amulecie. Twój ojciec także nie wierzył moim słowom, a zdajesz się być jego nieodrodnym synem.

— Niech mnie pan przekona...

Muller nieznacznie pokręcił głową.

— Nie znam tajemnicy jego działania. Mogę powiedzieć tylko tyle, że chroni przed wszelkimi demonami.

Powiedziawszy to, Muller zaraz się ożywił.

— Poprzedniego wieczora Helena udała się muzeum. Jedźmy tam.

Ruch uliczny, w porównaniu z tym, jaki był gdy zdażali do hotelu, zelżał teraz. Muller wydawał być już bardziej spokojny, ale nie kwapił się do rozmowy. Nie odezwał się słowem, aż do momentu gdy w końcu zajechali przed szerokie schody prowadzące do muzeum. Dopiero wtedy powiedział:

— Może zabrzmie to przekornie, Frank. Mówiłem już wcześniej, że Helena cię potrzebuje i tak jest w istocie. Ale zaklinam na wszystko, dlatego, że jestem to winien twemu ojcu, posłuchaj. Muszę cię ostrzec!

Przerwał na krótko, jakby szukał odpowiednich słów.

— Nie pozwól sobie na to, żebyś za bardzo przywiązał się do Heleny. To może być niebezpieczne.

— Nie mogę zaakceptować tej propozycji. Brzmi to bardziej jak opinia policjanta, niż lekarza. Poza tym, ona już skończyła dwadzieścia jeden lat.

— Nie to miałem na myśli. — przerwał Muller. — Mówiłem o niebezpieczeństwie,

jakie grozi tobie, nie jej. Jestem przekonany, że Ardath Bey będzie starał się ciebie zabić, tak jak zrobił to z twoim ojcem.

Frank spojrział przenikliwie na Mullera.

— Zabił go atak serca.

— Bez wątpienia ewentualny werdykt lekarski będzie brzmiał w twoim przypadku tak samo — stwierdził bez emocji Muller, otwierając drzwi samochodu.

* * *

Zostawiła Wolframa w pokoju, gdyż wydawało się jej niestosownym zabierać go ze sobą, mimo że było jej smutno, gdy słyszała dobiegający zza drzwi jego żalorny skowyt. Będąc już poza hotelem skręciła w prawo, kierując się na wąską drogę biegnącą wzdłuż Nilu a następnie, trochę dalej, skręciła znowu zmierzając tym razem ku centrum Kairu. Większość ulic zdawała się jej znajoma, chociaż niektóre były całkiem obce, jak na przykład wąskie uliczki w dzielnicy arabskiej — jakby krótsze, poprzecinane i łączyły się z nowoczesnymi ulicami w stylu europejskim. Ale dokądkolwiek zmierzała, odnosiła wrażenie, że zdążała do celu najkrótszą z możliwych dróg, wiedziona jakimś instynktownym poczuciem kierunku. A ponadto szła jakby nie odczuwając upływu czasu. Liczyło się wyłącznie to, by dotarła na miejsce.

W końcu znalazła się gdzieś, gdzie poczuła się tak, jakby rozpoczęła swoisty lot, zaledwie muskając stopami kamienne schody. U szczytu czekało na nią dwoje masywnych drzwi z brązu. Spodziewała się, że będą zamknięte, ale nie były. Korytarz, który znajdował się za nimi wyglądem swym nasunął jej skojarzenie z grobowcem. Obcasy jej butów uderzały dźwięcznie o marmurową posadzkę. Naraz przystanęła, zawahawszy się przed nową wspina-czką po kolejnych, wyrosłych przed nią schodach, prowadzących zapewne do następnych galerii. Galeria, do której powinna dotrzeć była oznaczona „E.18” i usytuowana w południowym skrzydle budynku. Znajdowała się za galerią „E.19” — galerie był rozlokowane i oznaczone w porządku chronologicznym. Helena musiała przejść przez salę Ramzesa I, żeby trafić do sali, w której były eksponaty z czasów Osiemnastej Dynastii.

Wyposażenie pochówkowe zajmowało całą specjalną galerię noszącą oznaczenie „E.18-A”. Mumia w szklanej trumnie umieszczona została w odległym końcu sali i było to pierwsze miejsce, do którego Helena pragnęła dotrzeć za wszelką cenę. Ale, kiedy wreszcie znalazła się tam, nie poczuła w sobie niczego ponad wewnętrzną emocjonalną pustkę. Nawet nie gniew z tego powodu, że mumia została kompletnie okradziona z wszelkiej biżuterii i wywleczona ze swojej właściwej trumny. Spodziewała się tego. Nie było żadnego sposobu, żeby powstrzymać złodziei grobowców. Nic nie było w stanie ich odstraszyć. Jeśli nawet w przeszłości udało się czasami złapać któregoś z nich i ukarać okrutnie przez rozprucie brzucha, a następnie zmuszenie złoczyńcy do zjedzenia własnych wnętrzności, albo uśmiercić złodzieja, zanurzając żywcem we wrzącej smole, nic nie było w stanie ich powstrzymać. Ewentualna nagroda miała dla nich znacznie większą wartość, niż cena jaką mogli zapłacić za próbę jej zdobycia. Odarta ze wszelkich wspaniałości, Anchesenamona zdecydowanie została pozbawiona swego królewskiego majestatu. Ale była to tylko jej zewnętrzna, wysuszona cielesna powłoka, teraz równie dobrze mogłaby zostać uznana za mumię którejkolwiek z podwładnych. Helena wolno wycofała się z galerii.

Naraz jej oczy spoczęły na rzędzie dziwnych szafek, znajdujących się po przeciwległej stronie galerii. Jedna z nich przyprawiła ją o szybsze bicie serca. Umieszczono w niej koronę królewską, którą Anchesenamona nosiła najpierw jako małżonka Tutanchamona, a później krótko, jako małżonka faraona Eje. Korona była niezwykle misternym dziełem. Wyglądała niczym upleciona z nitek szczerzego złota, na podobieństwo delikatnego babiego lata, tkanego przez pająka. Mogła też przypominać jakiś olśniewająco filigranowy kwiat, którego piękno, niezależnie od pory roku, było niezmiennie. Jej owal spinały złociste węże, niczym kobry strzegące niegdyś skarbcza Teb.

Helena przeniosła wzrok na inne szafki. W jednej wystawiono znalezione w grobowcu pierścienie, w innej wszelkiego rodzaju wisiorzy i ozdoby zawieszane na szyi (był tu alabastrowy, rzeźbiony wisior zdobiony dodatkowo złotem i kością słoniową). W trzeciej z kolei umieszczono złotą maskę pośmiertną, z wijącym się ureuszem z jednej strony i wizerunkiem Izydy z drugiej. Znaczyłyby to, że grobowiec jednak nie został splądrowany. Wszystko było praktycznie nietknięte, jedynie poprzestawiane z myślą o ekspozycji, Helena nie mogła tego pojąć. Znajdowały się tutaj przedmioty należące do Anchesenamona, służące wyłącznie jej doczesnemu i mające służyć pośmiertnemu żywotowi. Dlaczego wystawiono je tutaj? I dlaczego szafki były otwarte, przedmiotów w nich nic nie chroniło.

Helena ruszyła ku szafce skrywającej kosmetyki i perfumy. Było w niej też małe, zdobione kamieniami pudełeczko na krem, które otrzymała od swego ojca Echnatona oraz owalne lustro z połyskującego brązu. Przyjrzała się zwierciadłu i nawet zobaczyła w nim swoje odbicie ale kiedy chciała złapać jego uchwyt w kształcie wyobrażenia bogini Izydy, trafiła palcami na gładką, zimną, niewidzialną ścianę.

Rozśmieszyło ją własne nierozgarnięcie. Przecież to było szkło. Zwierciadełko leżało wewnątrz gabloty o tak wyszlifowanych ściankach, że były prawie zupełnie niewidoczne.

Była tak zaabsorbowana tym odkryciem, że głos jaki naraz do niej dotarł nawet jej nie wystraszył. Spodziewała się tego osobliwego, męskiego głosu i tego co powie:

— Zwierciadło znowu służy piękności — odezwał się, co przypomniało jej, że odwracając się powinna powściągnąć wszelkie emocje.

— Zwierciadło może niekiedy zaspokoić próżność patrzącego ale nie jest w stanie oddać całej prawdy o nim. — odparła — Czy sądzi pan, że jestem zaskoczona spotykając pana tutaj?

— Nie.

— Jest pan bardzo przewidujący... — wskazała na gablotę. — Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego porozdzielali te wszystkie przedmioty?

— Ponieważ niczego nie rozumieją — rzekł Ardath Bey. — Widzą zaledwie śmierć fizyczną, podobnie jak pierwszy człowiek, który zobaczył morski horyzont — nie są w stanie wejrzeć dalej, więc uznają, że tam istnieje tylko nicość.

Pokręciła głową.

— To nie ma znaczenia. Nie ma, gdyż tam czas nie ma żadnego znaczenia.

— A czy jest bez znaczenia to, że gdy umrze piękne ciało, dusza powędruje do innego, brzydkiego?

Pomyślała przez chwilę.

— Nie powinno się to zdarzyć, ale może... I może znaczyć o wiele więcej dla kobiety, przypuszczam.

— A jeśli miłość była krucha, niczym ciało?

— To nie mogła być miłość... — zauważyła stanowczo. — Ciało jest dla miłości tym, czym dłoń rzeźbiarza dla jego duszy. Zresztą, to tylko próba wyrażenia czegoś, co naprawdę wyrażone być nie może, nie mniej, to coś istnieje.

— Nie ukrywam, że nie to pragnąłem usłyszeć — powiedział Ardath Bey, ale w tonie jego głosu nie wyczuła nuty irytacji, Po kilku sekundach milczenia dodał:

— Są rzeczy, które chciałbym pokazać pani, ale nie tutaj i nie teraz. Może jutro...

— W jakim miejscu?

— Znajdę panią. Jedynym o co proszę, to by nie mówiła pani o tym komukolwiek. Czy mogę liczyć na dyskrecję?

— Oczywiście — odparła, wiedząc o konieczności zachowania sekretu równie dobrze, jak wiedział to Ardath Bey.

* * *

Znaleźli ją, przemierzającą samotnie galerię Anchesenamona, niczym zabłąkane dziecko.

— Przepraszam — zwróciła się do Franka. — Powiedziałam ci, że będę czekać. Przepraszam.

Była bardzo zdziwiona, gdy Frank spytał ją, czy była sama przez cały czas. A Muller miał kłopot z nadażeniem za nią, kiedy nieoczekiwanie ruszyła przed siebie i wybiegła z muzeum. Jej twarz wykrzywił grymas rozgoryczenia.

Rozdział piąty

Frank zaprosił Helenę na lunch i znowu była tą beztrosko śmiejącą się dziewczyną, którą poznał i pokochał poprzedniej nocy. Rozmawiali o rozmaitych i na ogół trywialnych sprawach, porównywali swoje upodobania i gusta (oboje lubili Bacha i wyszukane dania, ale ona wolała Paryż od Londynu i nie znosiła Kairu, który Frank z kolei uważał za interesujące miasto). Oboje też opowiedzieli sobie historie swego życia. Frank przyznał się, że właściwie nie znał zbyt dobrze swego ojca. Widywał go zazwyczaj tylko podczas szkolnych wakacji i to wtedy, kiedy ojciec akurat nie przebywał na wykopaliskach lub nie był zajęty pisaniem książki.

— Brzmi to nieco smutnie — skwitowała Helena. I jakby naraz oboje nie byli już pewni, czy powinni kontynuować rozmowę. Cisza, jaka zapadła była ambarasująca dla obojga. Dopiero po dłuższej chwili Helena odezwała się:

— Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, żeby zająć się archeologią? Czy twój ojciec w jakiś sposób zachęcał cię do tego?

— I tak i nie. Zawsze w pewnym sensie bardziej interesowałem się przeszłością niż teraźniejszością.

— Ja także. Ale nie spotkałam dotąd nikogo, kto by myślałby tak samo, jak ja. Ludzie uważają, że jest coś niedobrego, wręcz niebezpiecznego w tym, że się nie jest związanym z teraźniejszością. To cudowne spotkać wreszcie kogoś, patrzącego na życie podobnie, jak ja. Przeszłość jest dla mnie bardziej realna, niż teraźniejszość. To jest poniekąd tak, jakbyśmy żyjąc teraz, starali się doścignąć, naśladować jakiś oryginał — nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli? Jest to trochę tak, jakbyśmy, nieświadomie zresztą, fałszowali coś prawdziwego, coś autentycznego. Kolory, jakich używamy są zbyt jaskrawe, materiał nie jest autentyczny. Jakość też nie ta. Czy rozumiesz o co mi chodzi?

Nie bardzo rozumiał do czego zmierzała. On sam uważał przeszłość po prostu za mniej skomplikowaną, mniej konfundującą dla siebie niż teraźniejszość, która wydawała mu się naszpikowana zbyt wieloma niewiadomymi. Ponadto większość złożonych problemów przeszłości zdawała się być dzisiaj już w pełni rozwikłana. Frank zdecydowanie lepiej czuł się w tej strefie czasu. Podobnie jak i Helena ale ona, w przeciwieństwie do niego, jawiła mu się trochę jako mistyczka. I jako osoba o silnej więzi między emocjami a intelektem. Złapał się nawet na tym, że przysłuchując się jej słowom zastanawia się czy są one wyrazem charakteru kobiety jaką jest Helena, czy w jakimś sensie wyrazem jej choroby.

— ...jesteś jakby nieobecny? — dotarło do niego jej pytanie.— Wiesz, to jest tak jak ze snami, w których nagi zjawiasz się na ulicy i chociaż nikt na ciebie nie patrzy, zdajesz sobie sprawę, że jesteś poza rzeczywistością i nie jesteś w stanie zrobić niczego, żeby zmienić sytuację ze snu.

— Chyba tak... — przyznał niepewnie Frank, obawiając się ewentualnej zmiany tematu rozmowy. — Może dolać kawy? Sądzę, że to jest jedno z tych miejsc, gdzie liczą, jak za

jedną kawę i nie pobierają dopłaty za dolewkę...

— Nie rozśmieszaj mnie, Frank. Wierz mi, że nie jestem stuknięta. Możesz mi powiedzieć, że się ze mną nie zgadzasz, albo że nie rozumiesz o co mi tak naprawdę chodzi, ale nie powinienes próbować mnie prowokować...

Nie wiedział właściwie co ma odpowiedzieć. W końcu odparł:

— Rozumiem. — I zaproponował raz jeszcze: — Może jednak następną filiżankę kawy?

— Nie. Myślałam, że jesteś inny. Proszę, nie rób niczego co skłoniłoby mnie do zmiany zdania. Nie chciałabym się mylić co do ciebie.

— W porządku. Próbuj mnie dalej.

— Nie, to nie w tym rzecz.

— Dobrze. A więc rozumiem, o co ci chodzi — skłamał Frank. — A że odbieram to nieco inaczej niż ty, to dlatego, że po prostu mężczyźni inaczej przeżywają i wyrażają swoje uczucia, niż kobiety.

— Pieprzyć to.

— Co?

— To tylko ulubione przekleństwo mojego ojca. Pieprzyć... Jeśli to cię interesuje, znam mocniejsze słowa.

— Idę o zakład, że żadne z nich nie jest zbyt wytworne.

Roześmiała się.

— To jeden z moich problemów. Potrafię mówić niczym handlarka ryb, ale tak naprawdę nie ma we mnie niczego ze współczesnej dziewczyny.

— Muszę przyznać, że przykułaś teraz całą moją uwagę — wyznał Frank pochylając się zza stołu w jej stronę.

— Jestem kłębkiem sprzeczności — ostrzegła. — Wierzę w potęgę miłości, ale dla mnie jej duchowa strona dominuje nad fizyczną. Łóżko jest miejscem w którym sypiam, Frank.

— Ja nigdy dotąd nie sypiałem gdzie indziej — odparował i natychmiast poczuł do siebie pretensję, że zrobił to niepotrzebnie. Chciał się jakoś z tego wycofać, ale Helena poprosiła go, by odwiózł ją z powrotem do hotelu.

* * *

Frank spędził popołudnie z Mullerem. Zadzwonili do prosektorium, skąd otrzymali oficjalny raport patologa. Przyczyna śmierci sir Josepha Whemple'a była naturalna, zabił go atak serca. W raporcie było sporo medycznego żargonu, który Muller błyskawicznie przekładał na zwykły język: „Mówiąc w skrócie, twój ojciec zmarł w wyniku nagłego ustania funkcji życiowych organizmu”. Widząc zakłopotane spojrzenie Franka Muller dodał: „To brzmi mniej więcej jakbym powiedział, że tabletki nasenne wywołały u ciebie sen, gdyż mają właściwości nasenne”. Jest to niby jakaś informacja, ale w gruncie rzeczy nic nie mówiąca. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak dużo wszelkiego rodzaju medycznych „objaśnień” jest właśnie tego typu, Frank. Ci, którzy posługują się tym żargonem, nazywają siebie na ogół naukowcami-empirykami, ale tak naprawdę, przez swoje sztywne podejście do wiedzy, z góry eliminują przynajmniej połowę pytań, jakie mogłyby stanąć przed nimi. Empirycznych metod postępowania nie da się zastosować w próbach wyjaśnienia zjawisk natury.

— Mówi pan — oni. Ale przecież pan też jest lekarzem. Czy nie tak? — spytał Frank.

— Tak, jestem lekarzem. Studiowałem, między innymi, w tym samym instytucie, którego słuchaczem był Freud, ale sądzę, że nie dałem się zatrzymać w punkcie, w którym on się zatrzymał. Dla freudystów koncepcja umysłu jest, w pewnym sensie, pokrewna koncepcji wszechświata. Dlatego, jakby a priori tracą sens wszelkie pytania o to, co znajduje się poza granicami wszechświata, ponieważ wszystko, co w ogóle jesteśmy w stanie kiedykolwiek

poznać, mieści się właśnie w naszym umyśle. Ja natomiast uważam, że pewne zjawiska, zarówno fizyczne, jak i mentalne, nie mogą być wyjaśnione bez odwołania się do sfery zjawisk pozazmysłowych. Twój ojciec uważał mnie bardziej za szamana, niż lekarza. I może nawet jestem nim w istocie. Ale to, co zagraża Helenie i być może także tobie, czymkolwiek jest, nie pochodzi z wnętrza waszych umysłów. Jestem tego pewien — mówiąc to, Muller podniósł głos. — Czy nosisz amulet, który ci dałem?

— Mam go przy sobie — odparł Frank. Magiczny przedmiot spoczywał w jego kieszeni. Był tym samym dostatecznie blisko. Noszenie go przy sobie przez Franka było ustępstwem wobec Mullera, tak uważał. Ponieważ miało jednak jakiś związek z Heleną, nie traktował tego, jako zbyt dokuczliwego obowiązku. Ponadto czuł, że Muller odnosi się do niego z sympatią.

— Nie pozbywaj się go nawet wtedy, kiedy będziesz szedł do łóżka. — Nakazał Muller i Frank odpowiedział mu wymuszonym uśmiechem.

— Jeśli muszę, to będę nosił — skwitował Frank bez entuzjazmu. Muller pojednawczo skinął głową, a następnie ujął Franka za ramię.

— Jest coś, co chciałbym ci pokazać.

Mullerowie mieszkali w Wiedniu i tylko zimy spędzali w Kairze. Apartament, jaki zajmowali w Hotelu Semiramida, dwa piętra nad pokojem Heleny Grosvenor, był przestronny, ale sprawiał wrażenie zagraconego. Frank, gdy ujrzał ten apartament, odniósł wrażenie, że najbardziej przypominało to sklep z najrozmaitszymi osobliwościami i z Frau Muller, jako sprzedawczynią, która niczego nie sprzedaje z powodów sentymentalnych. Kiedy Frank został jej przedstawiony, złożyła mu swe kondolencje, a następnie poprowadziła przez wnętrze, jawiące mu się, niczym nieprzebyty las totemów, drewnianych wizerunków bóstw i różnorakich, rzeźbionych symboli fallicznych. Następnie Muller zaprosił go do małego pokoju obok, w którym odnosiło się wrażenie jeszcze większego bałaganu. Znajdowało się tu biurko i półki z książkami, wszędzie wznosiły się stosy manuskryptów, było jeszcze więcej statuetek, niż w dużym pokoju i jakby całkiem nie na miejscu, rozmaite instrumenty lekarskie: stetoskop, sfignograf, także szafka pełna medykamentów. Wszystko to razem wywołało u Franka uczucie jakiegoś niepokojącego snu, jakby znalazł się w miejscu, przypominającym teatralną dekorację, albo magazyn muzealny w trakcie przygotowań do wystawy pod tytułem „Medycyna przez wieki”. Frank oczekiwał podświadomie, że Muller, zdejmując swój kapelusz czarno-księżnika, spowoduje zamknięcie drzwi. Zamiast tego doktor podszedł do ściennej szafki, zawieszanej na wysokości jego ramienia i wyjął z niej jakąś kartkę rozmiarów zwykłej pocztówki. Kiedy się odwrócił, Frank zobaczył, że było to zdjęcie.

— Jak myślisz, co to może być? — spytał Muller, podając fotografię.

Frank przyglądał się jej wnikliwie. Pokazywała jakiś obiekt, wysoki na około trzy stopy, wykonany z wyszlifowanego, czarnego drewna. Przedstawiał korpus lwa o podwójnej, wężej głowie; jedna z nich miała paszczę otwartą, druga zamkniętą. Na szyi, na wysokości, gdzie obie głowy rozdzielały się, wyryte były jakieś symbole, ale nie były to ani hieroglify, ani pismo klinowe. Centralny symbol tej inskrypcji złożony był z dwóch falistych, skośnych linii i eliptycznego kształtu w punkcie ich przecięcia. W środku tego owalu znajdowała się pojedyncza kropka,

— To nie pochodzi z Egiptu — uznał Frank. — Chociaż symbolika — tułów lwa, motyw ureusza — jest jakby egipska. Co to jest?

— Nie mam pomysłu. Wszystko, co jestem w stanie o tym powiedzieć, to że jest to przedmiot znaleziony przez Harrisa Bentwith'a, amerykańskiego archeologa, specjalizującego się w okresie pre-myeńskim. Znalazł to na Krecie, jakieś trzydzieści stóp pod warstwą z epoki brązu. Jednak nie był w stanie powiedzieć o tym nic więcej. I nikt inny także.

Frank milczał, ale Muller nic już nie powiedział.

— I cóż?

— Jest to taką samą tajemnicą dzisiaj, jak wtedy. Niczego, poza tym, nie znaleziono w tej warstwie. Bentwith spędził dalsze dwa miesiące na poszukiwaniach a przez następny rok dwaj młodzi Francuzi kopali w miejscu, które pozostawił Amerykanin. Lecz i oni musieli zadowolić się niczym. Przyczyną przerwania poszukiwań przez Bentwitha było to, iż oślepl w styczniu 1912 roku. Dwaj Francuzi utracili wzrok jednego dnia, o tej samej godzinie. Było to siedemnastego lipca 1912 roku, dokładnie siedemdziesiąt dni po tym, kiedy ujrzeli ten obiekt i trzymali go w rękach — Muller wskazał na fotografię. — Czy mam kontynuować? — Frank skinął głową. — W porządku. Otóż Bentwith oślepl także dokładnie po siedemdziesięciu dniach od znalezienia tego przedmiotu. Dokładnie co do dnia, Frank. I dokładnie co do godziny. Czy widzisz ten symbol na szyi?

— Myśli pan, że to jest oko?

— W rzeczy samej. Latimer twierdził to samo. To człowiek, który kupił to coś od owych Francuzów — Desrochesa i Briego, którzy wcześniej kupili to coś od Bentwith'a. W żadnym muzeum na świecie nie oglądano tego. Poczucie rozsądku podpowiadało im, że to coś nie było autentykiem, że najprawdopodobniej jest mistyfikacją. Sir Reginald Latimer kupił to ósmego sierpnia 1912 roku i dostarczono mu to w nieprzezroczystym opakowaniu. Dotknął tego, ale nie spojrzął; może ostrożność przed zbytnim zaangażowaniem się w zbadanie przedmiotu wynikała z obawy narażenia się na kpiny ówczesnego establishmentu archeologicznego. W każdym bądź razie, nie chciał ryzykować niczego w związku z tym przedmiotem, chciał co najwyżej mieć go przez jakiś czas.

— Co się stało z Latimerem?

— Już go nie ma — skwitował krótko Muller. — Właściwie powinienem służyć ci w tej rozmowie kalendarzem.

— Nigdy nie spoglądał na to?

— Nigdy. Tylko dotknął. Od tamtej pory, to coś znajduje się w opieczętowanym pudle, gdzieś w magazynie Metropolitan Muzeum w Nowym Jorku. Bóg jeden raczy wiedzieć, co zamierzają w końcu z tym zrobić. Jeśli jednak chciałbyś się temu przyjrzeć, albo wziąć do ręki, to możesz, ale najpierw dostarczą ci do podpisania oświadczenie — w trzech egzemplarzach i w obecności notariusza, że zamierzasz to zrobić wyłącznie na własną odpowiedzialność. Z prawnego punktu widzenia jest to dla nich wystarczające zabezpieczenie. O ile mi wiadomo jestem pierwszą osobą, która prosiła o takie, gwarantowane własną odpowiedzialnością zezwolenie w celu sfotografowania tego obiektu. Zrobiłem zdjęcie z dużej odległości, ponosząc przy tym niemałe koszty, gdyż użyłem kamery automatycznej i specjalnego manipulatora, sterowanego elektrycznie, do otwarcia skrzynki. Przez następne siedemdziesiąt dni żyłem w strasliwym niepokoju ale w końcu upewniłem się, że fotografia nie oślepia. Bardzo chciałbym Frank, żebyś powiedział co o tym sądzisz. Przyjmę każdą próbę wyjaśnienia tej niesamowitej tajemnicy.

— Nie jestem w stanie tego zrobić — wyznał Frank. — Ja nawet nie wiem, dlaczego właściwie opowiedział mi pan to wszystko.

— To proste. Chciałem tylko zainteresować cię czymś na co już przed trzystu laty zwrócił uwagę Szekspir, mówiąc o rzeczach na niebie i na Ziemi, o których nie śniło się nawet filozofom...

— Uważam, że tylko głupiec jest w stanie przyjąć to za prawdę.

— Przyjął twój ojciec... — powiedział Muller cicho.

Frank pokręcił głową.

— Z całą pewnością nie zgadzał się z pańskimi hipotezami, doktorze Muller. Pan za bardzo komplikuje sprawy i dramatyzuje.

— Mam nadzieję, że tak właśnie postępuję, Frank. Ale skoro komplikuję, to niech będzie, że to nie Ardath Bey zabił twego ojca, i że nie zamierza zabić ciebie. Skoro dramatyzuję, to przyjmij do wiadomości, że Zwój Tota nie posiada mocy wskrzeszania zmarłych i że

duszy Heleny Grosvenor nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— Jeśli nawet ma pan rację, doktorze — Frank wolno cedził słowa — znaczyliby to, że skoro Ardath Bey zabił mego ojca, to jest także w stanie przywrócić go do życia.

Muller zareagował gwałtownie. Zaciśnął silnie palce na ramieniu Franka. Jego głos drżał.

— Nie próbuj nawet pomyśleć o tym nigdy więcej — syknął.

* * *

Helena potrafiła bardzo dokładnie wyobrazić sobie dom. Znajdował się w jednej z tych wąskich, średniowiecznych, nie brukowanych uliczek w arabskiej dzielnicy z drewnianymi domami. Przy uliczce, jak ta, którą teraz zdążała, uliczce rojącej się od ludzi — stojących, spacerujących, biegnących, handlujących, rozmawiających, wykrzykujących. Przypominającej jakąś płynącą wartko rzekę ciżby ludzkiej. Wolfram rwał do przodu, jego zmysły zostały rozbudzone przez zapachy wydawane przez wielbłądy, osły oraz inne psy. Nagłe trzaśnięcie bata zwróciło jego uwagę w innym kierunku, z kolei odgłos toczących się kół jakiegoś pojazdu przeniósł ją znowu gdzie indziej. Helena wyczuwała każdy ruch psa, który powarkiwał i poszczekiwał co jakiś czas, po zmieniającym się co chwila napięciu smyczy. Ale nigdy nie musiała go wołać ani zawracać, gdyż przez całą drogę, czuła to, zmierzał prosto ku miejscu, w którym powinien stać dom. Oczyma wyobraźni widziała ten dom, stojący wprawdzie przy uliczce ale z prowadzącą do wejścia małą, spokojną alejką. Bez cienia wątpliwości był to dom Ardatha Beya. Dom zbudowany na pół z kamienia, na pół z drewna. Okiennice z kutego żelaza przesłaniały okna, drzwi wejściowe sprawiały wrażenie prawie pancernych, z kołatką z rzeźbionego brązu.

Szła nie słysząc odgłosów, nie czując jakichkolwiek zapachów. Całkowicie skoncentrowała się na wyobrażeniu, jakie zrodziło się i tkwiło w jej umyśle.

Chciała być pewna, że nie przeoczy żadnego szczegółu z miejsca, do którego podążała. Trzy, mocno już starte stopnie schodów, powinny poprowadzić ją ku masywnym drzwiom tego domu. W oknach miały powiewać ciężkie, drapowane zasłony. Wkrótce już zapadnie zmrok. Jednak nie zaniepokoiła się zbyt. Była przekonana, że nawet w ciemnościach, nawet w środku nocy uda się jej odnaleźć ten dom. Wolfram naraz zaskowyczał, ale Helena nie sięgnęła smyczy, chociaż pies nagle, gwałtownie wyrwał przed siebie.

W kilka minut później Helena skręciła w niezbyt szeroką alejkę, której wcześniej usilnie wypatrywała i wtedy dostrzegła dom. W każdym detalu odpowiadał obrazowi, jaki nosiła w sobie od chwili opuszczenia hotelu. Była zadowolona, trafiając tutaj. Ale Wolfram zaczął szczekać jakoś osobliwie, w sposób raczej dla niego niezwykły. I zamiast skoczyć po schodach wprost do drzwi, cofnął się początkowo, po czym zaczął iść do przodu, ostrożnie stawiając łapy i cicho powarkując. Kiedy drzwi otworzył rosty Nubijczyk w białej todze i czerwonym fezie na głowie, owczarek jeszcze bardziej ściszył swoje powarkiwania. I za Nubijczykiem, wraz ze swoją panią, przekroczył próg domu, trafiając do przestronnego hallu. Helena trzymała przez cały czas psa na smyczy i rozglądała się wokół. Nagle stała się świadkiem dziwnej sceny.

Otworzyły się szerokie, wewnętrzne drzwi i wyszedł z nich Ardath Bey, poprzedzany przez białego kota.

Kot poruszał się majestatycznie i zmierzał przez hall w kierunku Wolframa.

Było to piękne zwierzę; poruszało się sprężysto i z gracją. Zbudowane nad wyraz harmonijnie, całe było pokryte długim i gęstym, nieskazitelnie białym futrem. Kot szedł w stronę Wolframa i z każdym jego krokiem owczarek alzacki zaczynał powarkiwać coraz głośniej. Jego sierść nastroszyła się, a początkowe szczekanie zaczynało przechodzić w skowyt niepokoju. Widząc to, Ardath Bey odezwał się:

— Mój kot raczej nie kocha psów, panno Grosvenor. Służący zaopiekuje się pani zwie-

rzęciem.

I Ardath Bey skinął na Nubijczyka, który przytrzymał psa, a sam poprowadził Helenę do salonu, tego z którego wcześniej wyszedł, by ją przywitać. Kot podążył za nimi.

Mogłoby się здаwać, że salon do którego wkroczyła powinien ją zdumieć lub chociażby zdziwić. Ale nic takiego się nie stało. Widok wnętrza w najmniejszym stopniu nie zaskoczył Heleny. Miało egzotyczny styl, tak jak się tego podświadomie spodziewała. Jego charakter, jak się domyślała, odpowiadał charakterowi Ardatha Beya. Był pełen rozmaitych przedmiotów, ale nie sprawiał wrażenia przeładowanego, był salonem zamożnego domu, ale nie trącił pretensjonalnością. Pośrodku znajdował się mały basen z fontanną, a wokół na podłodze leżały obszerne, miękkie poduszki do siedzenia. W salonie w ogóle nie było krzeseł i foteli. Stał tylko niewysoki stół, na którym znajdowała się statuetka Anubisa. Wszystkie drzwi salonu były zamknięte, podobnie jak okna, zasłonięte dodatkowo ciężkimi kotarami w przytłumionych kolorach. Wewnątrz panował półmrok, gdyż jedyne oświetlenie stanowiły dwie lampy naftowe, rzucające blask przede wszystkim na posąg Bastet — bogini o głowie kota. Blisko fontanny znajdowało się miniaturowe palenisko z kilkoma kadzidłami, palącymi się nikłym, bladoniebieskim ogniem i nasączającymi salon łagodnym aromatem, który tak oddziaływał na zmysły, że harmonijne barwy wnętrza wydawały się jeszcze bardziej ze sobą zharmonizowane. Ardath Bey przysunął w pobliże sadzawki dwie poduszki i zaprosił Helenę, by usiadła na jednej z nich. I usiadła bez oporów, natychmiast, wręcz instynktownie krzyżując nogi i podciągawszy je pod siebie, wykonała serię łagodnych, płynnych pokłonów. Ardath Bey usiadłszy, zrobił również kilka delikatnych pokłonów i przeniósł wzrok na Helenę. Coś miało się wydarzyć... Helena wpatrywała się w niego uważnie, chcąc dokładnie zrozumieć to, co zamierzał przekazać jej Ardath Bey. Nie chciała też zrobić niczego niewłaściwego w tej podniosłej chwili... Naraz odniosła wrażenie, jakby całe wnętrze zaczęło ujawniać swoją złożoną osobowość; również kot, a nawet aromaty kadzideł wydały się jej przejawem jakiegoś życia. Był to zapach odurzający i podniecający zarazem. I odurzył ją, lecz nie uspił. Była zdolna śnić, chociaż nie spała. Czuła się raczej tak, jakby to sen był właśnie rzeczywistością. Jakby budząc wchodziła w świat snu. Wiedziała o tym ona, wiedział Ardath Bey. W tej przepełnionej zapachami kadzideł atmosferze salonu poczuła, że było to swego rodzaju porozumienie między bogami, dla których sen jest prawdą, jawa fałszem. Budziła się w niej prawdziwa dusza.

Czuła to, żałując, że nie będzie później niczego pamiętać z tego, czego teraz doznawała. Ale wiedziała, że tak być powinno... Musiały jej wystarczyć krótkie przerwy w rzeczywistości, aż do następnego przebudzenia, a raczej zapadnięcia w sen. Widziała siebie jakby z boku. Dostrzegała ruch na powierzchni wody w fontannie, widziała swoją postać siedzącą na poduszce. Zdawała sobie sprawę, że zarazem obserwuje i jest przez siebie obserwowana. Śniła i była postacią ze swego snu. Była Heleną i nie-Heleną. Sobą i kimś innym.

Leżała teraz. Jej głowa spoczywała na drewnianej podpórce. Czoło okalał ureusz. Kamienne ściany komnaty powinny być zimne, ale czuła bijące z nich ciepło. Było jej słabo, była bliska utraty przytomności. Jej głowa płonęła we wnętrzu od bólu. Była chora. Tak, przypomniała sobie naraz o swojej chorobie i gorączce. Jak mogła o tym zapomnieć? Naraz jakaś zapłakana dziewczyna, której imienia nie mogła odszukać w pamięci, przyłożyła do jej rozgrzanego czoła chłodny kompres. Stało się to w tym samym momencie, kiedy kątem oka spostrzegła dwóch medyków w białych szatach i o zakłopotanym wyrazie twarzy, naradzających się ze sobą nerwowo. Umierała — tego była pewna. Nieoczekiwanie otworzyły się drzwi i z trudem odwróciła głowę w bok, by spojrzeć kto wszedł. Ale nie udało się jej. Natomiast po chwili poczuła czyjaś obecność oboje siebie. Wiedziała, że to on... Czuła, że ukląkł przy niej. Z największym wysiłkiem posłała mu uśmiech i wyciągnęła rękę, ale obciążona ozdobną bransoletą opadła ku podłodze. Ujął energicznie jej dłoń i pocałował ją całować. I jeszcze raz i jeszcze... Usłyszała jego szloch, będąc w pełni świadoma, że człowiek który znajdował się obok, gdyby tylko mógł, poświęciłby własne życie, żeby ona mogła żyć dalej.

Kiedy raz jeszcze zdobyła się na wysiłek i otworzyła usta by go pocieszyć, poczuła uniemożliwiającą wypowiedzenie słowa suchość warg. Z ust wydobyło się jedynie chrapliwe rżenie. I nagle resztki jej gasnącej świadomości zarejestrowały fakt przyspieszającego z chwili na chwilę odsuwania się od tego wszystkiego, co ją dotąd otaczało... od medyków, dziewczyny, która położyła jej na czoło okład, od mężczyzny, którego kochała. I była to, miała tego pewność, podróż bez powrotu.

Czuła się bardzo dziwnie, obserwując przygotowania do własnego pogrzebu, widząc łkające głośno płaczki i słysząc całą tę niepokojącą, rozedrganą muzykę, towarzyszącą pogrzebowi. Nagle dotarło do niej, że mary niesione są do grobowca. Była wszędzie, widziała wszystko. Jednocześnie była i duchem i ciałem. Ta wszechwiedza i wszechobecność wynikały z faktu śmierci. Jej ręce spoczywały skrzyżowane na piersiach. Całe ciało zastygło, nieruchome... Zaczęto opuszczać trumnę... Znajdowała się teraz na zewnątrz i obserwowała dalszy przebieg pochówku. Trumnę umieszczono między skałami, gdzie miała zostać ukryta po wszystkie czasy. Wszystko to widziała jakby od środka. Światło wokół tliło się nikłym blaskiem. Ponad sobą, w kamiennym otworze, spostrzegła księżyc i gwiazdy tak, jakby zostały namalowane na dachu groty. Wyczekiwała w spokoju na moment, kiedy ogromny głaz zakryje w końcu wejście do jej skalnego grobowca, oddzielając tym samym od świata zewnętrznego sarkofag z ciałem. Ale granitowy blok wcale nie opadał na wejście do grobu, natomiast jej uwagę przykuła obecność rosnącego Nubijczyka o połyskującej w świetle gwiazd w czarnej skórze, który odwróciwszy się, zaczął opuszczać wnętrze groty, nie próbując nawet zastawiać wejścia deskami. Lecz nie, wcale nie znajdowała się tu sama. Ktoś jeszcze był tutaj. Dojrzała go stojącego przed posągiem Amona, wysoką postać o mocno sklepionej czaszce. Z pewnością był to ktoś wysoki, chociaż mógł się wydawać niższym na tle przewyższającego go wysokością posągu. Bóg Amon siedział na tronie, na głowie miał podwójną koronę Górnego i Dolnego Egiptu, w prawej dłoni trzymał rytualny bicz, a w lewej zapętłony krzyż anch, symbol wiecznego życia. Przez ciągle otwarte wejście do groty wnikało światło księżyca, spływając łagodnie po ramionach i głowie Amona. Lecz nie obejmowało klęczącego przy posągu człowieka. Jednak wcale nie musiała go widzieć. Znała go. Ale co on robił tutaj?

Dojrzała, jak energicznie szukał czegoś w podeście posągu. Naraz wysunął się stamtąd jakiś przedmiot, najprzypuszczalnie kaseton. Mężczyzna sięgnął do jego wnętrza i wyciągnął szkatułkę. Starła się otworzyć usta, by krzyknąć, by go ostrzec, ponieważ najprawdopodobniej chciał wyjąć ze szkatułki papirusowy zwój. I zamierzał użyć go... Próbowała go ostrzec, lecz jej usta były martwe i nawet najśłabszy dźwięk się z nich nie wydobył. Nagle... Prawe ramię kamiennego boga poruszyło się, zauważyła, bicz przesunął się w stronę świętokradcy. Mężczyzna nadal klęczał przy posągu, trzymając w ręku zwój. Następnie zobaczyła, jak wstaje pochyłony i robi krok do tyłu. Nie ucieka. Jego miłość jest większa niż strach. Jej własna miłość do niego zmusza ją do łez, ale nie spływają jej po twarzy. Płyną, lecz niczym jakaś niewidoczna dla niego, podziemna woda.

Gdyby tylko było to możliwe, pragnęłaby uniknąć patrzenia na to wszystko. Czuła przejmujący ból i cierpienie. Lecz jej oczy były jakby zupełnie poza kontrolą. Musiała to oglądać. Widziała go sunącego na kolanach ku jej trumnie, rozwijającego papirus, zaczynającego czytać. Widziała jak naraz zerwał się z klęczek i wstał, kiedy w ciągle otwartym wejściu do grobowca pojawili się strażnicy, prowadzeni przez człowieka o rozbieganym, niespokojnym wzroku. Weszli i ujrzeni mężczyznę, który kochał ją bardziej niż życie, bardziej niż boga. Mężczyznę którego ciągle kochała, nawet zza grobu.

Nieoczekiwanie dla siebie usłyszała własny krzyk. Krzyk narastał, aż do chwili, gdy zupełnie zabrał jej oddechu. I wówczas dopiero umilkła. I wynurzyła się ze snu, w którym dotąd była pogrążona, podobnie jak tonący rozpaczliwie próbuje się wynurzyć ponad powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Osobliwego powietrza... przesyconego jakimś niecodziennym aromatem... Przebudziła się rozpoznając salon, do którego wcześniej trafiła, kota prze-

suwającego się wzdłuż okiennej zasłony, fontannę i sylwetkę mężczyzny.

Ardath Bey. Pamiętała jego imię. Jej myśli płynęły gorączkowo, ale umysł zarazem wydawał się prawie zupełnie pusty. Żyła. I Ardath Bey był żywy. Sen się skończył.

— Nigdy więcej — usłyszała samą siebie.

— Wystarczy na dziś — powiedział mężczyzna! — Już wkrótce zapomnisz o tym. O wizjach, takich jak ta.

Nie mylił się. Już zapomniała. I zamierzała powiedzieć mu o tym, kiedy naraz zza drzwi dobiegł ją jakiś intensywny hałas. Był to pełen cierpienia skowyt. Prawie jak wydawany przez człowieka, ale nie całkiem. To jednak był skowyt zwierzęcia. Psa.

— Wolfram! — zawołała nerwowo.

Ardath Bey był już przy drzwiach. Otworzył je energicznie i rzucił spojrzenie na hall. Następnie odwrócił się i rozłożył swoje szerokie ramiona, w geście wytłumaczenia.

— Mój dom został poświęcony bogini Bastet. To nie jest miejsce dla psów.

Przyjęła jego słowa z opanowaniem i nawet nie przeraził jej widok białego kota stojącego na ciele jej psa. Jego pazury wbiły się w tułów, zielone oczy płonęły gorączkowo. Jednak śmierć psa zdawała się nie mieć znaczenia dla nikogo z obecnych.

Rozdział szósty

Było już po siódmej, kiedy wróciła. Frank odruchowo sprawdził czas. Kiedy usłyszał, jak wkłada klucz do zamka, odłożył też słuchawkę telefonu. Przez tych kilka minionych godzin dzwonił do każdego kogo znał w Kairze, dzwonił na policję, kilkakrotnie kontaktował się też z Mullerem, z którym na bieżąco informowali się o wynikach poszukiwań. Ulga na widok Heleny wywołała u niego nieoczekiwaną reakcję — chwilowy odpływ sił. Nie mógł się zmusić do wstania z fotela. Doznał silnego wstrząsu i w żaden sposób nie mógł sobie pomóc. Była to jakby nadreakcja na stres i zmęczenie ostatnich godzin. Nic dziwnego, skoro zaledwie pół godziny wcześniej nabral przekonania, że Helena nie żyje. Po zgonie swego ojca zaczynał już godzić się ze śmiercią drugiej bliskiej osoby. I złapał się na tym, że nie myślał już o ojcu, tylko o Helenie. I o tym, że gdyby nawet umarła, zdobyłby się na to by wziąć do rąk Zwój Tota.

Wróciła i zareagowała na obecność Franka w sposób raczej dla niego nieoczekiwany. Tak jakby wróciła do domu po dniu pełnym wyczerpującej pracy, z zamiarem na przykład postania sobie łóżka.

— Och, to ty... — zauważyła bez szczególnej emocji w głosie.

— Gdzie się podziewałaś do licha? — krzyknął z wyrzutem Frank reflektując się zarazem, że zachowuje się niczym jej mąż, a raczej jak kochanek. — Szukaliśmy cię wszędzie, gdzie tylko było to możliwe — dodał już nieco spokojniej.

Jej głos był chłodny, z wyczuwalną nutą sarkazmu.

— Szukaliście w muzeum?

— Tak. A teraz Muller szuka w dzielnicy arabskiej.

— Nie zamierzam się opowiadać z tego dokąd chodzę. Nie chcę być niczyją własnością. Nie chcę być prowadzana na uwięzi, niczym pies.

Naraz Frank dostrzegł dziwny wyraz jej oczu skierowanych ku dołowi, jakby czegoś szukały.

— Gdzie jest pies? — spytał Frank.

— Nie żyje — powiedziała, potakując przy tym kilkakrotnie głową, jakby przekonywa-

ła samą siebie. — To prawda. Wolfram nie żyje. — Jej wargi zaczęły drżeć. — Zabił go kot. Frank w ostatniej chwili powstrzymał się przed zachnięciem.

— Heleno...

— Nie wiem, jak naprawdę do tego doszło — ciągnęła. — To był biały kot, tak sędzę. Tak, przypominam sobie, że to był biały kot.

Słyszając to Frank poczuł napięcie skóry aż na plecach.

— Gdzie się to zdarzyło?

Helena pokręciła głową.

— Nie wiem.

— Postaraj się przypomnieć sobie - poprosił łagodnie. — Jeśli nie uda ci się, trudno... Spróbuj jednak...

— Nie — odparła. — Nie chcę. Zresztą nie masz żadnego prawa nalegać.

— Niepokoję się o ciebie.

— Nic dla mnie nie znaczysz.

— Nie odmawiaj mi prawa troszczenia się o ciebie. Chcę coś znaczyć w twoim życiu.

— Lepiej mnie zostaw. Nie zajmuj się mną.

— Dlaczego?

— Tak po prostu.

— Z powodu Ardatha? Byłaś z Ardathem Beyem. Czy tak?

Oczekiwał jakiejś gwałtownej reakcji z jej strony, ale zachowała się zupełnie inaczej. Dostrzegł nagły przestrah w jej oczach. Cofnął się o krok, myśląc że to on jest przyczyną tego nieoczekiwanego lęku. Lecz ona wyciągnęła ku niemu ręce niczym skruszone dziecko. I podeszła do niego, a Frank zaczął gładzić ją po włosach.

— Nie pozwól mi tam iść już nigdy więcej — powiedziała. — Próbuję uciec od tego, ale nie udaje mi się. Nie pozwól mi tam iść, niezależnie od tego co będę mówić i robić.

— Oczywiście — odparł Frank. — Nie pozwolimy, żebyś chociaż przez chwilę została sama. Poproszę Frau Muller, żeby do nas zeszła i będę tu do czasu przyjscia doktora Mullera. A tak w ogóle co byś powiedziała na to, gdybyś wraz z Mullerami zamieszkała w moim domu? Jest przestronny. Znacznie lepiej moglibyśmy zaopiekować się tobą, Heleno.

Skinęła głową na znak zgody i przysunęła twarz do twarzy Franka. Poczuł na ustach słoność łez, które naraz popłynęły jej z oczu. I zaczął całować jej twarz. Ona również odpowiedziała mu pocałunkami, aż w końcu zetknęły się ich usta. Trwali w tym pocałunku długo i wreszcie Frank wyszeptał:

— Kocham cię.

Helena znowu odpowiedziała mu pocałunkiem. Zrozumiał, że w tej chwili słowa wcale nie były najważniejsze.

* * *

Przyszła pani Muller i przyrządziła dla nich lekki posiłek, po czym znowu wyszła. Muller jeszcze się nie zjawił, ale dzwonił. Frank spodziewał się go w każdej chwili. I jedynym czego pragnął to nie zasnąć do jego przybycia, ponieważ czuł się znużony i emocjonalnie wypalony wydarzeniami mijającego dnia. Dnia, w którym zmarł jego ojciec, dnia w którym przekonał się o istnieniu demonicznego świata, rozciągającego się gdzieś poza wymiarami logiki, dnia w którym zakochał się w dziewczynie, która następnie zniknęła wraz ze swym psem, a pies został zabity przez białego kota. Zastanawiał się, jak Muller wchłonie w siebie wszystkie te informacje. Nie wspomniał mu o niczym podczas rozmowy telefonicznej, zresztą, nie były to sprawy, o których możnaby opowiedzieć przez telefon. Jak choćby to, że pies Heleny, owczarek policyjny, został uśmiercony przez Bastet. Czy pan rozumie, doktorze? Przez starożytną egipską boginię pod postacią kota.

Boże, jakie to wszystko zdawało się nierzeczywiste. Niewiarygodne, nierealne.

Wyjął amulet z kieszeni i spojrzął na niego. Przedmiot w kształcie krzyża zakończony pętlą na jednym z ramion nasunął mu skojarzenie z jakąś dziecięcą zabawką. Muller wierzył, że ta rzecz jest w stanie osłonić przed tym niebezpieczeństwem, które zabiło ojca Franka i które teraz zagrażało Helenie. I chyba jemu również. Według Mullera, to nie Helenie, ale właśnie jemu była potrzebna ochrona. To po niego zgłosi się teraz Ardath Bey. Lecz według Franka ta teza nie bardzo zgadzała się z faktami. To właśnie Helena, w przeciwieństwie do niego, znajdowała się pod bezpośrednim wpływem Beya. To właśnie ona powinna być chroniona przez amulet. Jeśli rzeczywiście był on w stanie osłonić przed niebezpieczeństwem.

Frank podszedł do drzwi sypialni Heleny i zawiesił łańcuch z amuletem nieco powyżej klamki. Poczul się w tym momencie trochę niepoważnie, ale mimo to miał wrażenie, że tak właśnie będzie bezpieczniej. Być może udzieliła mu się sugestia Mullera, która już teraz stała się jego własną: jeśli się wierzy, że coś działa, to będzie działać. Ciągłe nie bardzo był do tego wszystkiego przekonany ale jednak, stopniowo, zaczynała mu się udzielać wiara Mullera. Muller wierzył w wysoką na trzy stopy statuetkę, która oślepiła czterech ludzi. Muller wierzył też w możliwość wskrzeszania zmarłych przy pomocy zaklęcia ze Zwoju Tota. Być może jednak Muller ma rację, pomyślał Frank. Zmęczony, usiadł na fotelu przed drzwiami pokoju, w którym spała Helena. Chciał czuwać nad nią i bronić przed ewentualnym zagrożeniem. Jego oczy powoli zaczęły się zamykać, jego umysł stopniowo odtwarzał zdarzenia z całego dnia. Lecz jego myśli krążyły przede wszystkim wokół rozkwitającego uczucia do Heleny i wokół tego co powiedziała o białym kocie. Skąd dowiedziała się, że biały kot był ucieleśnieniem bogini Bastet, skoro nigdy nie zajmowała się egiptologią i taki szczegół nie mógł być jej znany. O ile nie wspomniał jej o tym Muller. I o ile ten kot był właśnie...

Kot był u jego gardła i próbował rozszarpać mu tchawicę. Gęste kocie futro zatykało mu nozdrza, uniemożliwiając oddychanie. Miał pełne usta sierści i dusił się. Zaczął się szarpać, chciał zrzucić z siebie kota i ocalić życie. Ale tam wcale nie było kota — gardło samo zaciskało się z przerażenia i cierpienia. Jednak to co się stało przed chwilą było jak najbardziej realne. Dusił się. Martwił się o Helenę, lecz teraz musiał martwić się tylko o siebie. Jeśli zaraz nie odzyska oddechu, umrze. Przypomniały mu się słowa Mullera: atak serca. Nagła pułtka eksplodowała mu w głowie. Jedyne myśli jakie jeszcze w niej krążyły koncentrowały się wokół przyczyny duszności. Czymkolwiek to było, zabije go. „Atak serca”, pomyślał raz jeszcze. „To samo powiedzą o tobie”, przypomniał sobie słowa Mullera. Męczył się coraz bardziej, wyczekując chwili agonii. Spróbował jeszcze walczyć.

Z największym wysiłkiem wyciągnął przed siebie rękę dotykając drzwi. Pragnął doczołgać się do nich i do Heleny. Nie chciał umierać w samotności. W przebłysku gasnącej świadomości pomyślał o jakimś sygnale, który powinien dać. Dzwonek. Czy obudzi on Helenę? Może obudzi ojca z wiecznego snu? A może uda mu się obwieścić swe przybycie do bramy podziemnego świata... Tak powinno wyglądać jego wejście do podziemnego królestwa... Dzwonek w kształcie statuetki bogini Izydy... Pomyślał o amulecie z Izydą. Bardzo pragnął dotknąć łańcucha amuletu. Kiedy wreszcie się to udało, łańcuch pozostał mu w dłoni.

* * *

Muller znalazł go pół godziny później. Otworzył szeroko okno, by Frank mógł swobodnie oddychać. Lecz oddychanie przychodziło mu z trudem. Cały drżał, targały nim dreszcze, był wycieńczony. Muller dostrzegł jego twarz, przezroczystą niczym pergamin. W ręce ciągle trzymał amulet.

— Czy teraz mi wierzysz? — łagodnie zapytał Muller.

— Tak, wierzę — odezwał się cicho Frank. — Ale co robić w tej sytuacji?

* * *

Dom, do niedawna należący do sir Josepha Whemple'a był przestronny i wygodny. Na

parterze mieściły się pomieszczenia dla służby, ale teraz nikogo tam nie było. Następnego dnia wprowadzili się Mullerowie wraz z Heleną. Przyprawdzili także ze sobą i pielęgniarkę zaangażowaną za pośrednictwem agencji. Frank odstąpił Helenie swoją sypialnię, natomiast Mullerowie zajęli pokój jego ojca. Sam Frank z kolei zajął pokój gościnny, blisko schodów. Takie rozmieszczenie lokatorów pozwalało na prowadzenie dyskretnego, ale ciągłego nadzoru nad Heleną, która właściwie nie mogła dojść niezauważona nawet do drzwi wejściowych. Ponadto pielęgniarka towarzyszyła jej przez całą noc. Praktycznie była pilnowana przez pełne dwadzieścia cztery godziny.

Przez cały pierwszy tydzień Helena była na specjalnej wysokoproteinowej diecie, a wszyscy na zmianę czytali jej głośno gazety i książki, rozmawiali z nią, a najaktywniejszy w tych rozmowach był Frank. Muller nieustannie próbował zarejestrować postępy w jej stanie zdrowia. Ale nie były zauważalne. Wręcz przeciwnie, pod koniec tygodnia Helena straciła na wadze blisko czternaście funtów i wyglądała tak, jakby znajdowała się już w ostatnim stadium jakiejś ciężkiej choroby. Na życzenie Franka Muller powołał konsultanta internistę. Doktor LeBarron przeprowadzał szczegółowe analizy, mierzył co tylko było do zmierzenia, aplikował rozmaite leki w ogromnych dawkach, ale nie postawił ostatecznej diagnozy. Kiedy go nacisnęli powiedział, że jego zdaniem Helena zdradza pewne symptomy, chociaż zastrzegł, że nie jest tego pewien do końca, schorzenia zwanego dementia praecox: iluzje, katatonie, całkowita utrata poczucia rzeczywistości. Z drugiej strony miewała jednak przebliski całkowitej trzeźwości myśli i słów. Ale właściwie nic z tego nie rozumiał. W końcu dał Helenie spokój. Spała teraz większą część dnia, bądź bywało, nawet cały dzień. Wszyscy domownicy byli do głębi przejęci tą sytuacją. Z wyjątkiem może panny Sparling, pielęgniarki, która była przekonana, że taki stan Heleny jest przejściowy i jedynym remedium na jej przypadłość jest po prostu cierpliwość.

Jednego razu Helena przebudziła się ze snu przeraźliwie krzyżąc, co nazwała później „krzykiem cierpienia”. Frank przysiadł na jej łóżku i zaczął wypytywać o sen, ale ona poprosiła go, by sprawdził, czy pościel nie jest zakrwawiona. Powiedziała, że pchnęła się sztyletem. Ale w łóżku nic było nawet kropli krwi. Frank nawet specjalnie zainscenizował poszukiwanie śladów, w czym Helena aktywnie mu pomagała.

— Oni przyplłynęli okrętami — zawołała. — Broniłam się przed gwałtem. Czy dobrze zrobiłam?

— Nie ma ich już — zapewnił ją Frank. — Oczywiście, że postąpiłaś słusznie.

— Nie pomyślałam, że to może być tak okropny ból. Gdybym wiedziała, że tak długo będę umierać, nie zrobiłabym tego.

Innym razem zaczęła głośno wołać by przyprawdzono do niej księdza. Stało się to akurat wtedy, kiedy obok był Muller. Spytał łagodnie:

— Jakiego księdza potrzebujesz, Heleno?

— Takiego, który zająłby się moją duszą.

— Najbliższe kościoły są dosyć daleko stąd — wtrącił Muller. — Ale powiedz dokładnie o jakim księdza ci chodzi.

Naraz Helena zaczęła mamrotać coś niewyraźnie. Muller nie był w stanie uchwycić sensu tego co mówiła do momentu, kiedy udało mu się wyłowić słowo „sacerdos”. Helena mówiła po łacinie, chociaż w szkole i nigdy wcześniej nie poznała tego języka. Mówiła też coś o jakiejś arenie. Nieoczekiwanie jej plecy wygięły się i zaczęła rzucać się na łóżku. Z jej gardła zaczęły wydobywać się jakieś głuche okrzyki. Zdawało się, że pochodzą gdzieś z głębi gardła. I w pewnym momencie niespodziewanie całe jej ciało zastygło w bezruchu, a na twarzy wykwitł ekstatyczny uśmiech. „Cruce vitam intrabunt” wyszeptała, po czym zapadła w sen.

„Chyba umrę” oznajmiła Helena Mullerowi następnego dnia.

— Wszyscy umrzemy — spokojnie odparł doktor. — Ja chyba nawet jestem bliższy tego niż ty.

Zaprzeczyła, żywiłowo potrząsając głową.

— Umieram znacznie szybciej niż pan. Coś mnie zabija.

— Co to jest, jak sądzisz?

— Pan wie.

— Być może... Walczysz z tym? .

— Tak, ale nie jestem już w stanie dłużej.

Muller ujął jej dłoń i uściśnął.

— Co się stanie, jeśli przestaniesz?

— On chce, żebym do niego przyszła. I ja też tego chcę. Doktorze Muller, chcę iść do niego.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Kochasz go?

— Nie jestem pewna. I tak i nie. To bardzo złożone. Kocham go, ale równocześnie obawiam się.

Muller spytał:

— A co z Frankiem?

— Sądzę, że go kocham. Ale to jest inny rodzaj miłości. Nie obawiam się go. Czy rozumie pan co się ze mną dzieje?

Muller zawahał się. Zastanawiał się przez dłuższy czas.

— Nikt z nas tego nie rozumie. Lecz sądzę, że robisz dobrze walcząc z nim, Heleno. Problem polega jedynie na tym, że stopniowo tracisz w tej walce swoją energię życiową. Za każdym razem ubywa jej trochę więcej. Sądzę też, że Ardath Bey równie może tracić swą moc.

— Ardath Bey?

— Czy to nie on przyzywa cię do siebie?

Helena skinęła potakująco głową.

— Tak, to chyba on. Tylko dlaczego on?

— Bo cię pragnie.

— Dlaczego chce mnie martwą?

— To jest to, czego ja też nie rozumiem. — Stwierdził Muller. Wstał. — Frank przyjdzie tu i zastąpi mnie. Czy chciałabyś czegoś?

— Nie, dziękuję.

— Krzyż?

Helena spojrzała pytająco na Mullera.

— Dzięki krzyżowi można ocalić życie — dodał Muller.

— Nie wierzę w te wszystkie starożytne opowieści — odparła Helena, chociaż bez większego przekonania.

* * *

Przebywanie z Heleną w jednym pokoju było dla Franka ciężkim doświadczeniem. Z trudem przychodziło mu patrzeć na znękaną, wymęczoną twarz dziewczyny i słuchanie jej niezbornej mowy. Chwile pełnej przytomności umysłu zdarzały się już coraz rzadziej. Cała jej osobowość ulegała stopniowo dezintegracji dotknięta przez tajemniczą chorobę. Za wszelką cenę próbowała wydostać się z domu na zewnątrz. W tym celu, uciekała się do rozmaitych, raczej mało wymyślnych wybiegów. Zaoferowała też Frankowi swoje ciało jako łapówkę za to, by zechciał pójść z nią nad brzeg Nilu, w którego nurcie mogłaby umyć stopy oraz

włosy. Kiedy Frank odpowiedział jej, że Nil jest dzisiaj właściwie jednym wielkim ściekiem, oburzona nazwała go kłamcą a potem w ogóle przestała się do niego odzywać. Ale po dziesięciu minutach milczenia oznajmiła naraz, że najprawdopodobniej jej ojciec właśnie oczekuje na nią na lotnisku Grand Pont de Kasr-en-Nil, dokąd przyleciał prosto z Chartumu żeby się z nią spotkać. I oświadczyła też, że jeśli nie znajdzie się tam niebawem, umrze.

— Wyślę Mullera, żeby spotkał się z twoim ojcem — zdecydował Frank. — Muller przywiezie go tutaj.

— Czy wydaje ci się, że zawsze masz rację?

— Heleno, byłoby lepiej, gdybyś pospała trochę.

— Nienawidzę snu. Nie wiem co jesteście w stanie wymyślić kiedy śpię dzień i noc. Nie znoszę spać jeśli nie mogę robić tego kiedy naprawdę chcę. Tak jak ty. Lepiej mnie zabij, żebym się dłużej tak nie męczyła.

— Nikt nie chce cię skrzywdzić, Heleno — zapewnił Frank, mając nadzieję, że dziewczyna nie słyszy w jego głosie nuty znużenia całą tą niewiarygodną sytuacją, przemęczenia i strachu wynikającego z poczucia beznadziei, która spływała na niego, gdy tak przy niej siedział.

— Przez cały czas troszczymy się o ciebie, staram ci się pomóc Heleno — dodał Frank.

— Więc jeśli troszczysz się o mnie, pozwól mi pójść. Jeśli jesteś człowiekiem wrażliwym nie możesz kochać zwierzęcia uwięzionego w klatce, tylko takie które jest wolne.

— Dokąd zamierzasz pójść?

— To moja sprawa. Nie jestem niczyją niewolnicą! W tym domu stracę całą swoją urodę. Ty zresztą chcesz, żebym stała się szpetna i nie była atrakcyjna dla kogokolwiek innego. Jesteś zazdrosny, ponieważ inni uważają mnie za atrakcyjną. No, przyznaj się... Bądź szczerzy — powiedziaławszy to, zaśmiała się nieprzyjemnie. A potem dodała:

— Jestem w stanie zawrócić w głowie każdemu w Egipcie. Możesz się temu przyglądać. Ty! Ty robaku!

— Kocham cię — wyszeptał Frank, ale głosem takim, jakby zupełnie nie wierzył własnym słowom.

— Nienawidzę cię. Budzisz we mnie wstręt. Wyjdź stąd. Idź i możesz skomleć — nie zrobi to na mnie najmniejszego wrażenia.

Frank próbował jeszcze coś wyjaśnić, ale Helena znowu wykrzyczała:

— Wynos się!

* * *

Później przeproszała, popłakiwała i posyłała Frankowi namiętne pocałunki. Ale on mimo to czuł się usztywniony jej wcześniejszym wybuchem, chociaż zapewniał, że nie ma to dla niego jakiegokolwiek znaczenia. Za wszelką cenę starał się jednak nie dać jej odczuć, że dotknęły go jej przepojone złością słowa. Bał się, że mogłoby to wywołać u niej kolejną, trudną do przewidzenia reakcję. Dlatego, kiedy na życzenie Heleny opuścił pokój, wrócił do niego ponownie, kiedy tego stanowczo zażądała.

Wieczorem towarzyszyła Helenie panna Sparling. Starła się namówić dziewczynę do zjedzenia kolacji i wzięcia nowej, większej niż dotąd porcji leków. Ale nie udało się jej. Wezwała więc panią Muller.

— Wydaje mi się, że ona znowu zaczyna przechodzić w ten swój stan — oznajmiła pielęgniarka.

— Zdaje się, że mówi o jakimś swoim przyjacielu, który może uczynić z niej najpiękniejszą kobietę na świecie o ile umożliwimy jej spotkanie, z nim — powiedziaławszy to, panna Sparling zaśmiała się nerwowo ale zaraz zamilkła widząc, że pani Muller nie podziela jej poczucia humoru. I nieco skonfundowana wyszła do kuchni.

Pani Muller została z Heleną około dwudziestu minut a wychodząc z sypialni napotkała

Franka. Na jego widok bezradnie wzruszyła ramionami.

— Nie gniewaj się na mnie — zwróciła się do niego — ale nie jestem w stanie wytrzymać z nią.

Kiedy Frank wszedł do sypialni Helena leżała na łóżku. Zastony były zaciągnięte a trzy lampy oświetlały pokój przytłumionym i zarazem nastrojowym światłem. Miała na sobie krótką, białą koszulę nocną a na twarzy makijaż: była to dosyć gruba warstwa pudru, zbyt obfity róż na policzkach, mocno lśniąca na wargach szminka. Efekt był komiczny i patetyczny zarazem. Widok ten nasunął Frankowi skojarzenie z dziewczynką, która umalowała się by spróbować uwieść swego ojca. Lecz zarazem beznadziejność tej sytuacji prawie przyprawiła go o łzy. Jeszcze bardziej, gdy usłyszał jej głos.

— Frank, pragnę byś oglądał mnie piękną — to jedyna szansa dla ciebie. Następnej może już nie być.

Frank podszedł do niej i przytulił do siebie.

— Nie powinny ci pozwolić tego zrobić — wyszeptał i czule objął dłońmi głowę dziewczyny. Helena zaczęła płakać i łzy rozpuściły mocny makijaż wokół oczu. Frank odruchowo odwrócił wzrok nie chcąc oglądać jej w takim stanie. Przytulił ją jeszcze mocniej do siebie. Dało mu to poczucie więzi z Heleną.

— Nie przejmuj się — powiedział stanowczo. — Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze.

— Zapamiętaj mnie Frank taką, jaka jestem teraz — odparła Helena i Frank naraz poczuł intensywne drżenie, które przeszło całe jego ciało. — Kocham cię, Frank. Jak widzisz, staram ci się to udowodnić. Wierz mi, naprawdę wolałabym umrzeć, niż żyć bez ciebie.

— Ale ty nie umrzesz — prawie automatycznie zareagował Frank, jakby z poczucia obowiązku wręczał placebo umierającemu.

— Nie opowiadaj bzdur — odparła Helena. — Nie musisz zaspokajać mojej próżności — te słowa były raczej przeznaczone dla Mullera, który cicho wsunął się do pokoju i stanął za plecami Franka.

— Wiesz zapewne więcej niż mogę się domyślać — stwierdził Muller, a kiedy Frank odwrócił się ku niemu, dodał:

— Ona wie, że nie jest w stanie stawiać oporu w nieskończoność, Frank. Impuls, jaki wysyła ku niej Ardath jest zbyt silny. Zabija ją.

— On to zrozumiał, Frank — wyszeptała Helena. — A ty?

— Nie — odpowiedział twardo. I zwrócił się do Mullera:

— Nie może stąd wyjść w takim stanie. Muller, podobno jest pan lekarzem?

— Niech idzie. On jej zwróci zabraną wcześniej energię. Jeśli Helena przestanie się tutaj szamotać, on najprzypuszczalnie przekaże jej energię niezbędną do tego, by mogła do niego dojść. A dopóki nie pójdzie, będzie umierała. Doktor LeBarron chce zabrać ją do szpitala, ale tutaj żaden szpital i żaden lekarz nie są w mocy pomóc. Ty też nie możesz niczemu zapobiec. On nas pokonał, Frank. Uświadom to sobie.

— Nie! Mam gdzieś to co pan mówi.

Muller na chwilę przymknął oczy.

— To jedyne wyjście powiedział łagodnym głosem. — Już nie mamy czasu na cokolwiek innego.

Naraz Helena szarpnęła Franka za rękaw tak, że się do niej odwrócił.

— Zamierzacie go znaleźć, czy tak? W porządku... Szukajcie sobie. Ale nie uda się wam.

Ani Frank ani Muller nie odpowiedzieli. Helena nerwowo opadła znowu na poduszkę.

— On nie pozwoli żebyście go znaleźli. Tylko ja jestem w stanie tego dokonać.

— Ale ona nie może być kozłem ofiarnym, Muller — wykrzyknął Frank. — Nie możesz przywiązać jej do drzewa i wyczekiwać, aż nadejdzie tygrys. Nie w ciemnościach. Nie

wtedy gdy on jest odporny na kule.

Muller zignorował Franka i zwrócił się bezpośrednio do Heleny.

— Następnym razem Heleno, kiedy poczujesz impuls, czy to będzie w dzień czy nocą, idź do niego.

Na te słowa Frank podszedł do Heleny i wtulił swą twarz w jej rozgrzane emocjami ciało. Zaczął łkać. Dziewczyna pogłaskała go po włosach. Robiła to wolno, lecz niespokojnie.

— Muszę tam, muszę... Tam, teraz... Muszę...

Rozdział siódmy

Było już około wieczora tego dnia, gdy Muller zaglądał do pokoju Heleny. Ona sama odniosła wrażenie, że to co się stało zaczęło się gdzieś koło ósmej trzydzieści. Nie było słychać najmniejszego hałasu z sąsiedniego pokoju, ale na zewnątrz zmrok jeszcze nie zapadł na dobre. Cisza wokół nasunęła Helenie myśl, że Frank i Mullerowie znajdują się najprawdopodobniej w salonie na parterze. Panna Sparling zapewne też była w swoim pokoju. Helena, ledwo co przebudzona, z trudem próbowała zwilżyć śliną wysuszone długim snem wargi. Jej drzemki z dnia na dzień stawały się coraz dłuższe: cztery godziny wczoraj, trzy i pół godziny dzień wcześniej. Lecz czy był to symptom zły czy dobry? Nie miała pojęcia. Jednego tylko była pewna — sen, z którego przebudziła się przed chwilą był zupełnie pozbawiony jakichkolwiek wizji. I właściwie nie czuła się po nim, jak zwykle dotąd, zmęczona. Przynajmniej nie na tyle, by zasnąć ponownie. Usiadła na łóżku... Czuła jednak, jakby przez cały czas, coś lub ktoś towarzyszył jej. Jakby stanowił z nią nierozłączną całość. Czy była to znowu iluzja, kolejna fantazja, podobnie jak wczoraj, o tej samej nawet godzinie, kiedy miała demoniczną wizję porwania i gwałtu... Naraz przez wszechpanującą w domu ciszę przebiły się głosy... Poznała je. Znaczyło to, że oni wszyscy nie byli martwi... Frank, Mullerowie, panna Sparling. Uznała to jednak za iluzję. Bała się, przeczuwała, że już niebawem spotka się z nim. Trwała w tym stanie przez blisko dziesięć następnych minut. Zamierzała już pociągnąć za dzwonek przy swoim łóżku, żeby wezwać pannę Sparling, która chyba jako jedyna była w stanie pomóc jej w zaśnięciu.

Ale znowu, o tej samej godzinie co poprzedniego wieczoru zaczęła odczuwać jakąś nową iluzję. Czuła ciśnienie rozsadzające wewnątrz głowy, ciśnienie jego myśli przesuwające w nierzeczywistość jej własne. To ciśnienie czyniło ją zdezorientowaną i przerażoną. Było to coś takiego nad czym w żaden sposób nie była w stanie sprawować kontroli, ani ona, ani chyba nawet Muller. Zdawała też sobie instynktownie sprawę, że nie powinna już dłużej walczyć z tym uczuciem, nie powinna mu się opierać, lecz raczej już teraz wyruszyć ku przeznaczeniu. Czyż Muller właśnie tego jej nie powiedział?

Kiedy napięła mięśnie, jej oddech automatycznie stał się szybszy. Usiadła na łóżku i spróbowała, zanim wstanie, uregulować rytm oddychania. Ciśnienie wewnątrz głowy narastało nieustannie, dochodząc już do granicy nieznośnego bólu. Przeczuwała, że już wkrótce bezpowrotnie pograży się w tym bólu. Próbowała jeszcze myśleć o tym co mogła by zrobić, żeby do tego nie dopuścić, ale już nie była w stanie, był tylko ból, coraz większy ból...

Ubierała się wolno, ale był to proces mocno nieskoordynowany. Właściwie to zmuszała się do tego, by się ubrać; z trudem przychodziło jej nawet odróżnienie przodu od tyłu poszczególnych elementów ubrania. Pomocne okazały się tym razem guziki, przynajmniej pomagały jej odszukać właściwą stronę. W końcu się ubrała... i w pewnym momencie zdziwiła się stwierdziwszy, że skrycie i cicho schodzi z piętra schodami w dół...

* * *

Tym razem poczuł jej odpowiedź — było to jakby łagodne szarpnięcie mówiące, że ich umysły połączyły się — spłynęło na niego zadowolenie. Próbował już znacznie wcześniej, ale nigdy przedtem nie odebrał jej odpowiedzi; zawsze przed czasem budziła się wyczerpana. Lecz w końcu udało mu się połączyć ich swoistą nicią porozumienia, napinającą się w miarę zbliżania się dziewczyny do celu. Czekał na nią w ogrodzie Sharia'a Mariette Pasha, schowany w cieniu; czekał z cierpliwością nie osłabioną przez upływ jedenastu lat. Najpierw czekał, aż osiągnie granicę kobiecości, następnie czekał aż uda mu się usunąć Whemple'a, aby odzyskać zwój. Teraz czekał, aż osłabnie czujność Mullera; był to groźny przeciwnik, lecz nie mógł mu dorównać. A teraz czekał już po raz ostatni, aż ona dojdzie do muzeum, który to dystans właśnie pokonywała. Tak, czekał na ten moment długo, znacznie dłużej niż tylko jedenaście lat...

Wyszedł z cienia jak tylko usłyszał jej kroki w brukowanej uliczce, ujął jej nie stawiające oporu ramię i poprowadził do okna, w którym wyczekiwał na nich Selim. Przypomniawszy sobie o tym, że nie powinien okazywać rozgorączkowania i zachowywać się dostojnie. Nie mógł pozwolić sobie na to by zrazić ją swoim nieopanowaniem. W żadnym razie nie może stać się napięta. Studiował uważnie jej twarz aż chwili gdy Selim wyciągnął przez okno swoją czarną dłoń, by ująć jej blade, delikatne ramię i pokierować do wnętrza. Wyglądała na zrelaksowaną, chociaż zarazem na nieco oszołomioną. Spodziewał się tego. Lecz było jeszcze tyle do powiedzenia, a już tak mało czasu. Lecz ona zrozumie wszystko. Był tego pewien. Będą ze sobą przez najbliższą godzinę, a potem nie będzie żadnej mocy na Ziemi i poza nią, która byłaby w stanie dosięgnąć ich dwoje. Godzina była wszystkim czego potrzebował.

* * *

Kiedy krótko po dziewiątej wieczorem Frank wszedł do pokoju Heleny z zamiarem przeczytania jej przed snem, zastał pokój pusty. Zbiegł natychmiast na dół, by sprawdzić rygle na drzwiach wejściowych, po czym pobiegł do salonu, żeby zawiadomić Mullera o zniknięciu dziewczyny.

— Gdyby pozwolił mi pan zamknąć drzwi, tak jak zamierzałem, nie doszłoby do tego. Wiedzieliśmy przecież, że będzie próbowała wyjść! — Frank zaczął wykrzykiwać na starszego mężczyznę w salonie. — Pozwoliliśmy jej uciec!

— Znajdziemy ją, Frank — uspokoił go Muller. — Nie mogła wyjść stąd wcześniej niż pół godziny temu. Panna Sparling sprawdzała jej pokój około ósmej dwadzieścia.

— Przez ten czas ona mogła przemierzyć cały Kair — przerwał zniecierpliwiony Frank. Muller przecząco pokręcił głową.

— Nie byłaby w stanie zrobić tego pieszo. Ponadto mamy nad nią pewną przewagę, gdyż wiemy dokąd się udała. Zresztą to co powiem może cię zabolę, ale nie możemy za bardzo następować jej na pięty. Gdybyśmy zdążyli za nią zbyt blisko, mogłaby dostrzec nas i stracilibyśmy naszą przewagę.

— Dokąd poszła?

— Dowiesz się za dziesięć minut — odparł spokojnie Muller. — Może napijesz się herbaty?

— Ona potrzebuje pomocy, Muller! Teraz. Nie za dziesięć minut. Teraz!

— Najbardziej pomożesz jej zachowując spokój. Rozumiem, że czekanie jest trudne do wytrzymania w takiej sytuacji, a zwłaszcza gdy się nie wie z jakiego powodu i na co się czeka. Wiem o tym, Frank. Proszę cię, zaufaj mi. Jeśli się nie mylę w swoich przypuszczeniach, powinniśmy go dopaść.

— A jeśli jednak się pan myli?

— Czy jesteś pewien Frank, że ją kochasz? — odparł pytaniem Muller.

— Niech pan nie zmienia tematu. Zapytałem, co się stanie w razie pańskiej pomyłki? Muller wziął w dłoń dzbanek z herbatą i zaczął nalewać.

— Ja nie zmieniłem tematu, Frank. To, o co zapytałem jest bardzo ważne. Obserwowałem was przez miniony tydzień.

Przerwał na chwilę, żeby pociągnąć łyk.

— Zauważyłem, że w tym czasie dokonałeś pewnego odkrycia. Nie, nie mam na myśli żadnego odkrycia archeologicznego, nic w tym rodzaju. Jest to odkrycie, które staje się udziałem młodego człowieka, który najprzypuszczalnie nigdy wcześniej nie kochał. Choć to odkrycie może być też udziałem kogoś znacznie starszego, lecz wówczas raczej bywa już za późno... Czy rozumiesz Frank, o czym zamierzam powiedzieć?

Kiedy Frank niepewnie pokręcił głową, Muller ciągnął dalej swoim pełnym spokojem, a zarazem zabarwionym nutą dydaktyzmu głosem.

— Dostrzegłem, że odkryłeś obowiązki wynikające z faktu, że się kogoś kocha. Nie dziwi cię Frank, to co mówię? Widzę, że chyba tak. — Muller uśmiechnął się. — Nie całą niezbędną wiedzę można znaleźć na stronicach książek. Najważniejszych spraw tak naprawdę uczymy się od innych, którzy z kolei odziedziczyli tę wiedzę od tych, którzy byli przed nimi. Gdybyś sam musiał dochodzić tych prawd, zajęłoby ci to prawdopodobnie znacznie więcej czasu, niż będzie trwało twoje życie. Obserwowałem jak stopniowo przystosowywałeś się do bycia z Heleną, jak coraz bardziej akceptowałeś zmienność jej nastrojów, jak puszczałeś mimo uszu wszelkie zniewagi pod twoim adresem, jakie padały z jej ust, choć były zupełnie niezasłużone. Widziałem jak mimo to wracałeś do niej, siedziałeś przy niej i próbowałeś z nią rozmawiać. Odnoszę wrażenie, że odkryłeś, iż prawdziwa miłość różni się nieco od wizerunku, jaki nadaje się jej w piosenkach i filmach. Jeśli powiesz mi teraz, że kochasz Helenę Grosvenor, przyjmę to z pełną powagą gdyż wiem, że już zrozumiałeś znaczenie słowa „miłość”. Kochasz ją?

— Tak — analiza sytuacji dokonana przed chwilą przez starszego mężczyznę była bardzo precyzyjna. Frank naraz poczuł spory respekt wobec doktora Mullera, a zarazem pewne zakłopotanie. Pociągnął więc kilka łyków herbaty, żeby chociaż trochę uspokoić swoje emocje.

— Dobrze — westchnął Muller. — Widzę więc, że uda nam się ją ocalić.

Frank spojrzał nieco zszokowany.

— Ocalić ją?

Twarz Mullera była nieprzenikniona.

— Tak, użyłem właściwego słowa. Wyleczyć to nie jest najwłaściwsze określenie. Ona nie jest chora. To z czym się zmagamy jest czymś innym niż chorobą. Walczymy z szatańską siłą. I ta siła wcielona jest w osobę Ardatha Beya. To dlatego chciałem wiedzieć co naprawdę czujesz do Heleny. Chcę użyć twej miłości jako broni — jedynej być może broni, jaką możemy mieć. I jeśli ona kocha cię dostatecznie mocno, mamy pewną szansę. Jeśli nie, dziesięć minut więcej nie uczyni już żadnej różnicy.

— Gdzie ona jest, Muller?

— W muzeum, oczywiście. W galerii Anchesenamón — powiedziawszy to, doktor zerknął na zegarek. — Wyruszymy w drogę za jakieś sześć minut.

* * *

Nubijczyk nalał naftę do lampy, założył nowy knot. Po chwili galerię rozjaśniło ciepłe światło i dostrzegła w nim Ardatha Beya pochylonego nad alabastrową wazą i wyjmującego z jej wnętrza zawiniątko z ubraniem.

— To jest dla ciebie — stwierdził, po czym wyszedł z Nubijczykiem do sąsiedniego pomieszczenia, pozwalając jej ubrać się.

Przysunęła wspaniałą płócienną szatę bliżej światła, dotknęła palcami prześlicznego

złotego wisiora, a potem przytknęła szatę do twarzy, by poczuć jej miękkość. Następnie w odruchu zniecierpliwienia przystąpiła do ściągania sukni, którą miała na sobie. Gwałtownie szarpnąwszy rozerwała ją i oderwała kilka guzików. Spieszyła się bardzo, by poczuć na skórze chłodne płótno nowej szaty, a na stopy włożyć lekkie sandały. Gdy Ardath Bey wrócił po kilku minutach, miał na sobie luźną, białą szatę bez jakichkolwiek ozdób. Zatrzymał się w wejściu do galerii, wyciągnął ku niej prawą rękę i wolnym, prawie niezauważalnym ruchem, pochylił przed nią głowę. Nubijczyk, którego cały ubiór składał się teraz wyłącznie z opaski na biodrach, pokłonił się także w ślad za swoim panem. Jak dotąd nie dostrzegła niczego dziwnego w ich zachowaniu — nawet wówczas, kiedy na znak swego pana sługa rozbił zamek w gablocie z biżuterią Anchesenamona i zdjął z niej wieko.

Czekała na chwilę, kiedy zostanie przyozdobiona wspaniałą biżuterią.

* * *

Ardath wysłał Nubijczyka z jakimś poleceniem na zewnątrz, sam natomiast sięgnął po klejnoty. Jego palce uważnie przesuwają się po nich, jakby chciał dokładnie je sobie przypomnieć. W końcu wyjął jakiś. To był ten kształt, którego szukał — amulet Izis. Podobny był do zwiniętej w kłębek żmii, niby żywej bo cieplej, ale jednak martwej. Przeszył go naraz trudny do opanowania lęk. Ze złością cisnął nagle przed siebie ten magiczny przedmiot, aż poleciał z łoskotem w przeciwną, ciemną stronę sali. Ponownie sięgnął do gabloty i tym razem trafił na pectorał. Był ciężki, ozdobiony kamieniami i osobliwie połyskiwał w świetle migocącej lampy. Helena zrobiła krok do przodu, by ułatwić mu założenie ozdoby na swą wysmukłą szyję. Następnie przysła kolej na pierścienie. Wyciągnęła przed siebie ręce i wyprostowała palce, a on na każdy z nich włożył masywny pierścień a na przeguby dłoni nasunął złote bransolety w kształcie węzowego zwoju. Na samym końcu włożył jej na czoło ureusz, a całości dopełniła korona. Helena była już teraz gotowa. Stał na chwilę za nią, żeby podziwiać jej nieziemską urodę. Był to moment zwycięstwa ich obojga. Czas, dotąd niepokonany, tutaj przegrał potyczkę z nimi i musiał odstąpić część swego nieskończonego imperium. Przynajmniej ku niej specjalnie wcześniej przygotowane łożo, na którym leżąc miała dowiedzieć się od niego o tym, co oboje osiągnęli w walce przeciw niesamowicie kłopotliwemu przeciwnikowi. Przeciw rozkładowi śmierci...

* * *

Jego słowa zdawały się wypełniać jej głowę, niczym ziarenka piasku wsypywanego do wazy, wypędzając zarazem jej własne myśli jakby przez jakiś otwór w sklepieniu czaszki... Kiedy wreszcie przepelniły ją zupełnie, wyprawszy przy okazji z wszelkich innych myśli, zaczęła tę nową wiedzę jakby magazynować gdzieś w najniższych pokładach swojej pamięci. Ale pod tym ciśnieniem nowych wiadomości czuła jakiś bliżej nieokreślony ból. Powiedział jej wcześniej, że tak właśnie będzie odczuwała i dlatego nie niepokoiła się. Wierzyła mu. Powiedział, żeby mu wierzyła. Zamierzał wymazać z niej ślady jej obecnego życia po to, by uwolnić jej duszę — żyła już dotąd przynajmniej kilkunastoma życiami, ale duszę przez cały czas miała jedną. Powiedział jej teraz o tym i nie miała powodu mu nie wierzyć.

Naraz, kiedy tak słuchała, jej ciało stało się prawie całkiem bezwładne i mocno przywarło do tkaniny wyściełającej łożo. Mimo to otworzyła szerzej oczy i wejrzała w oprawione w brąz lustro, które przed nią ustawił. Straciła zupełnie świadomość swego ciała, zdawało się jej, że płynie. Poczwała raczej niż zobaczyła go rozwijającego zwój papirusowy i tylko po jego intonacji mogła się domyślić, kiedy zwraca się do niej a kiedy czyta jakąś formułę z papirusu. Nie była w stanie rozpoznać języka jakiego używał, chociaż zarazem wszystko rozumiała. Powiedział jej, że ma przed sobą długą, mogącą niekiedy przyprawić ją o cierpienie podróż do odbycia. Podróż tę odbędzie dusza — nie ciało — choć to ciało będzie odczuwało ból. Ale to nie miało znaczenia. Ciało nie było ważne, ono po prostu zużywało się. Oczywiście w

końcu jej dusza trafi z powrotem do ciała i nie będzie miała wątpliwości kim była wcześniej, nie będzie dziwiła się temu kim on był. Będzie wiedziała wszystko. Ta wiedza zostanie z nią na zawsze a wszelkie zapisy poczynione przez Ozyrysa zostaną po wsze czasy wymazane z jego Księgi Umarłych.

Kiedy Bey zaintonował swą pieśń, w znajdującym się przed nią zwierciadle dostrzegła swe odbicie — jej włosy pokryte jakimś białym pudrem były wysoko upięte. Stała obok fontanny przy końcu długiej alei wyznaczonej szpalerem smukłych cyprysów. Blisko niej znajdował się młody mężczyzna w jedwabnych bryczesach i kapeluszu przyozdobionym piórami. I wręcz zebrał prosząc ją o miłość. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie naraz tę scenę z przeszłości. To było w Wersalu, minionego bądź jeszcze poprzedniego lata a korzący się przed nią galant miał na imię Karol i był markizem d'Arenges. Spozstrzegła siebie śmiejącą się z adoratora i potrząsającą przecząco głową. Przypomniała sobie... Groził, że rzuci się natychmiast do jakiejś wody, jeżeli ona go odtrąci. A ona wówczas odparła, że być może skok do wody, w ubraniu wpłynie na niego kojąco i ostudzi jego zapały... Naraz obraz zamazał się.

Kiedy znowu stał się przejrzysty, ujrzała siebie ubraną w długą, brokatową szatę i stojącą na podwyższeniu w Wielkiej Sali zamku Wrothingham. Poniżej znajdowali się rycerze jej pana, Henryka z Wrothingham. Czekali w szeregu na możliwość ucałowania jej dłoni przed wyruszeniem na wyprawę krzyżową. Mieli na sobie białe tuniki ozdobione czerwonym krzyżem. Była to wzruszająca scena, ale jednak coś ją w niej zaniepokoiło, chociaż nie wiedziała co. I wówczas podszedł do niej Giles Fitzalan, by ucałować jej dłoń i na swej delikatnej skórze poczuła lekkie muśnięcie jego czarnej brody. I wiedziała już dlaczego scena pożegnania tak ją wzruszyła... Do oczu napłynęły jej łzy, kiedy zobaczyła jeszcze Fitzalana składającego jej pokłon, a następnie odwracającego się. Chciała krzyknąć głośno, żeby się zatrzymał, ale nie mogła otworzyć ust. Było już za późno, gdyż właśnie podszedł do niej De Bevis i przesłonił widok odchodzącego Fitzalana. Było już za późno, ponieważ Giles Fitzalan zginął u bram Jerozolimy, rozplątany na dwoje przez, niewiernego jednym dęciem bułata. Pamiętała to... Twarze umarłych przesunęły się między obliczami żyjących. De Bevis powrócił, ale z odciętym jednym ramieniem. Maltravers został zabity na Cyprze. Ryszard z Ainsbridge przeżył. John Bowmaster zginął. Żywi i umarli czekali w jednym szeregu, by ucałować jej dłoń. Przeszył ją dreszcz przerażenia od tej profetycznej wizji. Odwróciła wzrok...

— Rozpoznałaś ich — zwrócił się do niej, przerwawszy swój śpiew. — Zobaczysz jeszcze więcej, ale nie będzie to trwało długo.

Kiedy na nowo podjął swą pieśń zobaczyła przed sobą osadę otoczoną palisadą — poznała ją natychmiast, a po chwili spostrzegła, że osada płonie. Rozpoznała groźnych najeźdźców z Północy, którzy już wdierali się do środka ze swymi przerażającymi toporami. Słyszała krzyk przestraszonych kobiet i mężczyzn. Widziała, jak topory zadawały śmiertelne rany. Poczła narastającą panikę, kiedy zobaczyła jak Wulfric próbując wybiec z chaty, został rozplątany ciosem siekiery. Nikt w osadzie już nie był w stanie powstrzymać Normanów. Byli wszędzie; urządzili rzeź wśród mieszkańców, zabijali każdego mężczyznę, gwałcili kobiety, rzucali się nawet w dwunastu na jedną. Opanowana wręcz zwierzęcym strachem przyklekła próbując podjąć decyzję... Wiedziała co robić, chociaż nie chciała zrobić tego ponownie... Bała się, lecz tamci byli już blisko, dobijali się do masywnych dębowych drzwi. Nie miała czasu... Przynęła się jeszcze do leżącego Wulfrica, by pocałować go w ostygłe czoło. Zza jego pasa wyciągnęła żelazny sztylet. Wówczas powstała i rozejrzała się wokół. Duma i wyzwanie malowały się na jej obliczu. Kiedy w końcu wrota ustąpiły pod naporem normańskich ciosów i pierwszy z najeźdźców wtargnął do środka, nie czekając aż ją dosięgnie, z całych sił wbiła sobie sztylet w pierś. W pierwszej chwili poczuła, jakby przez serce otworzyła się jakaś śmiertelna droga. Potem ostrze przeniknęło jeszcze głębiej. I naraz we wnętrzu eksplodował potężny ból. Zaczęła tracić świadomość. Upadła na znajdujące się w pobliżu łoże. Nie była już nawet w stanie krzyczeć. Umierała... traciła oddech... Naraz zwierciadło pociemniało i

powoli zaczęła znowu oddychać. Wkrótce już głębiej, jakby żelazne ostrze zupełnie ulotniło się z jej ciała.

— Już więcej nie będziesz cierpiała — usłyszała jego obietnicę. — Nie będzie więcej bólu.

I w zwierciadle ujrzała Demetriusza, który trzymał chropowaty drewniany krzyż, a ona znajdowała się między wiernymi klęczącymi przed tym krzyżem. Ucałowała krzyż, kiedy nagle drzwi się otworzyły... Pierwszą wyciągnięto na zewnątrz kobietę z Joppy. Wkrótce na przepełnionej tumultem arenie znalazła się i ona, a także inni wyznawcy nauki Jezusa Chrystusa. Poczła pod stopami przesiąknięty krwią piasek i odniosła wrażenie, jakby to była JEGO krew, ta sama jaką przelał za nich sto lat wcześniej. A tumult publiczności, żadnej krwawego widowiska narastał. Spozregła, że strach całkowicie sparaliżował kobietę z Joppy. Nie była w stanie się ruszyć. Krzyknęła jej głośno do ucha, by ją przebudzić. Chciała w nią wlać chociaż kroplę odwagi... Naraz zostały otwarte drzwi w murze areny, zamknięte dotąd sztabą. I wbiegł przez nie sprężysty, brązowy stwór... Demetriusz wznosił w górę swoje starcze ramiona, chcąc albo odstraszyć lwa albo ściągnąć na siebie jego uwagę. Nie była tego pewna, słyszała tylko wypowiedziane przez Demetriusza słowa: „Cruce vitam intrabimus”. Słyszała je nawet jeszcze wówczas, gdy jedno z ramion starca zniknęło w ociekającej krwią paszczy bestii. Usłyszała też przeraźliwy krzyk kobiety z Joppy i chwyciła ją za rękę, by wraz z nią oczekiwać na śmierć. I w pewnym momencie, kiedy już przywarły do siebie blisko, nagle rzuciła się na nie jedna z bestii. I powaliła je na ziemię. I naprawdę, jak ją zapewniał, nie czuła już żadnego bólu, chociaż zwierciadło raptownie ściemniało, a w ustach poczuła piasek.

Jeszcze raz obraz w zwierciadle uległ zmianie. Tym razem zobaczyła siebie taką, jaką była — w przepięknej płóciennej szacie, ze złotym wisiosem i w ureuszu nasuniętym na czoło. Ale w zwierciadle nie dostrzegła korony na swej głowie. Imhotep był z nią, prowadząc ją do sanktuarium Izdy w świątyni w Karnaku, Przypominała to sobie... Nie było powodu, żeby o tym zapomnieć. Ale chociaż były to zdarzenia nie tak znowu dawno minione, nie znała ich finału. Nie była pewna tego, co nastąpi... Kiedy tak patrzyła, zdawało się jej, że powinna być w stanie przewidzieć następstwo zdarzeń; jaki będzie ich wynik dla niej i dla niego. Na pewno powinny być jakieś konsekwencje jej niedozwolonego związku z najwyższym kapłanem świątyni. Lecz nie mogła sobie przypomnieć czy w ogóle były jakiegokolwiek. Albo dopiero miały nastąpić...

Pamiętała jak i kiedy rozpoczął się ich związek. Zaczęło się to wkrótce po śmierci Tutanchamona... Oczywiście kochała swego młodego męża całą swoją istotą i nie przestała kochać go nawet po jego śmierci. Jedynym jej nieszczęściem w ich związku było to, że zawiódło ją jej łono. Dwoje martwych noworodków zostało zmumifikowanych i pochowanych razem z ich ojcem. Jak gorzki w swej wymowie był dla niej ten pogrzeb — tej dwójki i jego. Zmarł w wieku lat zaledwie osiemnastu, bezpotomnie, zostawiając jej w spadku niepewny do objęcia tron, pożądanym przez Horemheba i przez Eje, dwóch najpotężniejszych ludzi w królestwie. Była właściwie zaledwie kimś nieco więcej niż dzieckiem, ciągle jeszcze bawiącym się w dziecięce zabawy; zdarzało jej się to, kiedy towarzyszyła Tutanchamonowi w jego długotrwałych wyprawach łowieckich. Potrafiła na przykład drażnić się z nim porywając jego kołczan, a następnie po długich namowach z jego strony, oddając mu stopniowo po jednej strzale, gdy akurat zamierzał strzelać do jakiegoś umykającego celu. Taka właśnie scena została uwieczniona na jego tronie pogrzebowym, wraz z innym wizerunkiem, na którym dwoje młodych polewa się wzajemnie perfumami, co też było jedną z ich ulubionych zabaw. Tak, to był specyficzny rodzaj miłości, jeszcze dziecięcej i czystej. Po jego śmierci została zmuszona przez okoliczności do osiągnięcia dojrzałości w przerażająco szybkim tempie. W tamtym czasie Imhotep był dla niej zaledwie imieniem, z łaski Eje został niższym kapłanem. Jeżeli wówczas zwróciłaby na niego uwagę, to raczej przez przypadek. Ale tak się wtedy nie stało...

Natomiast po dramatycznym dla Egiptu najeździe Hetytów została zmuszona do wyboru między dwoma starymi, otluszczonymi mężczyznami — Eje bądź Horemhebem, Horemhebem bądź Eje, generałem i szambelanem. Zdała się na los, który wskazał na Eje, nie na Horemheba, a ten wybór zarazem i Imhotepa przywiódł do dostojęstwa.

Po raz pierwszy spotkała go na ceremonii koronacji Eje. Jako nowo mianowany najwyższy kapłan w Karnaku prowadził tę ceremonię. Już podczas niej odebrała płynącą z jego słów i gestów mocno skrywaną, jednak dającą się wyczuć ironię z groteskowości sytuacji, w jakiej przyszło uczestniczyć im obojgu i innym. Widziała to zwłaszcza po dyskretnym uśmiechu, jaki przelotnie gościł na jego obliczu. I dzień, bądź dwa później spotkała go w ogrodzie pałacowym i z dziewczęcą bezpośredniością zapytała go od razu właśnie o ten figlarny uśmiech.

— Jeśli się uśmiechałem — odparł jej — to tylko dlatego, że było mi miło widzieć cię, szczęśliwą u boku twego nowego męża.

— A czyż, panie masz wątpliwości, że jestem? — Zareagowała żywo.

— Nie, zupełnie nie. Twój mąż, pani, być może nie jest już tak pełen wigoru, jak byłby młody książę hetycki, ale za to z pewnością przewyższa go doświadczeniem i mądrością życiową.

Była zaszokowana tą odpowiedzią. Jeśli Imhotep wiedział o jej liście do Hetytów, to mógł wiedzieć także ktokolwiek inny. Być może Eje chciał przez najwyższego kapłana zastać na nią pułapkę, żeby oskarżyć ją o zdradę. Być może jednak Imhotep zamierzał wykorzystać to, co wiedział do wyciągnięcia jakichś korzyści dla siebie? Następnego dnia odwiedziła go w świątyni i zarzuciła mu knucie intrygi. Wybuchnęła gniewem, zaczęła krzyżeć na niego, ale Imhotep tylko uśmiechnął się do niej swoim dwuznacznym uśmiechem.

— Masz pani prawo powiedzieć o tej rozmowie faraonowi — odparł spokojnie Imhotep. — Natomiast co do posądzenia mnie o knucie intrygi, sędzę, że nigdy nie byłem na tyle nierozsądny, by wypływać tam, gdzie mógłbym natknąć się na krokodyla, polować na lwa, czy próbować uknuć intrygę przeciw rasowemu intrygantowi.

Ale jakby na przekór swemu stosunkowi do kapłana, polubiła ten jego wieloznaczny uśmiech. Przez następne dni wielokrotnie odwiedzała świątynię. I stopniowo zaczynała traktować Imhotepa jak swego powiernika, chociaż początkowo próbowała go sprawdzić... Opowiadała najrozmaitsze szczegóły o swoim mężu, chcąc się przekonać, czy dotrą do niego. Kiedy jednak przekonała się, że kapłan dochowuje tajemnicy, poczęła odnosić się do niego coraz bardziej przyjaźnie. Ich zażyłość rosła. I stali się prawdziwymi przyjaciółmi, akurat w tym samym czasie, gdy Anchesenamón dowiedziała się z pewnego poufnego źródła, że jej mąż, faraon Eje, ponownie zaczął bywać w łóżnicy swej pierwszej żony.

Właściwie nawet nie była szczególnie zdziwiona tą informacją, chociaż jej duma mocno została urażona. I to, co stało się później wcale nie było konsekwencją odrzucenia przez nią wcześniej Eje jako kochanka. Bardziej z rozgoryczenia zdradą Eje niż z miłości do Imhotepa poszła z nim do łóża czyniąc go tym samym swoim powiernikiem, przyjacielem, kochankiem. Ich uczucie rosło. To był inny rodzaj miłości od tej, jakiej zaznała w związku z Tutanchamonem. Nie doznała takiej nigdy dotąd. Tamta miłość była bardziej fizyczna, była jak pełna zdrowej namiętności miłość między dwoma zwierzętami, poznającymi siebie stopniowo. Ta poruszała jej umysł bardziej niż ciało, mogące bez trudu zaspokoić głęboko skrywane fizyczne potrzeby Imhotepa. Nowy związek pozwolił jej zmienić zupełnie hierarchię wartości i spojrzeć dalej, poza horyzont rzeczy i spraw. Dzięki niemu potrafiła odrzucić to, co w naturze ludzkiej trywialne i zaakceptować to, co jest naprawdę istotne, nieprzemijające. Ta miłość do najwyższego kapłana świątyni w Karnaku była dla niej swego rodzaju doświadczeniem religijnym, była związkiem z przewodnikiem jej duszy. Imhotep nauczył ją rozumieć co to naprawdę znaczy mieć duszę, tak że stopniowo przestała być tylko i wyłącznie biernym świadkiem zdarzeń wokół. Nauczył ją rozumieć religię głębiej niż sięgały jej korzenie, odkrył przed nią

prawdziwy początek, pokazał też koniec; to wszystko czego nie można było odnaleźć w świątyni i w księgach, lecz jedynie w najgłębszych pokładach ludzkiego umysłu i w sercu. Energia płynąca z tego odkrycia była tak potężna, że zdublowana w energii drugiej, kochanej osoby, mogła przeciwstawić się każdej innej mocy. Nauczył ją uznawać moc miłości za największą z mocy — przewyższającą moc kapłana czy maga. Tak, tego wszystkiego nauczyła się od Imhotepa. Nowa wiedza wyrugowała starą i służyła za pożywkę dla ich miłości; a miłość, wzajemnie, wzbogacała tę wiedzę.

Była świadoma obecności Imhotepa w sali i przeniosła wzrok w dół. Dostrzegła go klęczącego przy łożu. Jej pamięć obudziła się na ten widok. Czuła się tak, jakby ocknęła się po długotrwałym, skomplikowanym śnie, jednak takim, którego przerwanie przepełniało ją zalem. Lecz tym razem było to już jej ostatnie przebudzenie: ona na łożu, rozgorączkowana, a Imhotep przy niej, klęcząc. Była zaintrygowana tym widokiem. Sen zdawał się być bardziej realny, niż to co widziała teraz.

Wymówiła jego imię, wyciągając zarazem ramiona, by go objąć. Lecz on się cofnął. Dlaczego się odsunął? Czy było to jakieś przywidzenie w stanie rozgorączkowania?

— Boję się — wyszeptwała. — Nie wiem, gdzie jesteśmy. To nie jest ani świątynia, ani mój pokój.

Odpowiedział jej niskim głosem, pełnym emocji.

— Nie obawiaj się niczego, Anchesenamon.

— Było wtedy ciemno — odezwała się, przypominając sobie sceny z przeszłości. — Byłam chora i ty byłeś przy moim łożu tak, jak jesteś teraz. Zrobiło się wtedy tak ciemno, iż myślałam, że umieram. Ale gorączka minęła teraz, Imhotepie. — Jej głos stawał się coraz bardziej ożywiony. — To już minęło, ja nie umarłam, mój kochany. Czuję się lepiej.

— Ciemność ma swój kres — zapewnił ją. — Już dłużej nie będziesz chora.

— Nie rozumiem pewnych rzeczy, Imhotepie. Dlaczego widzę tutaj sarkofag? Co to za miejsce?

Usłyszała jak westchnął, po czym nastąpiła dłuższa przerwa, nim odezwał się ponownie:

— Wiele czasu minęło od dnia, kiedy po raz ostatni gościłem w twojej pamięci, Anchesenamon. Pamiętasz mnie klęczącego, tak jak teraz, u twego łoża w ostatnich godzinach twojej choroby. To było bardzo, bardzo dawno temu. Ale od tamtego czasu sprawy zmieniły swój bieg. Powinnaś zaakceptować te zmiany.

Pokręciła niepewnie głową, chcąc mu dać do zrozumienia, że ciągle jeszcze nie w pełni pojmuje znaczenie tego, co powiedział przed chwilą. Po kolejnej dłuższej pauzie znowu odezwał się do niej:

— To była godzina twojej śmierci... Przypominasz sobie swoją ostatnią godzinę. Minęła ponad trzy tysiące lat temu...

Rozdział ósmy

Czy masz amulet? — zapytał Muller. Frank dotknął palcami klatki piersiowej. — Dotykaj go co jakiś czas. Być może nie zdoła już w niczym pomóc, ale z pewnością nie zaszkodzi. I jeszcze jedno... Myśl intensywnie, jak tylko jesteś w stanie, o Helenie.

— A o czym konkretnie, pańskim zdaniem, powinienem myśleć?

— Musisz skoncentrować się na wyobrażeniu jej postaci. Niech twoje myśli o niej wręcz zmaterializują się. Chcę by stanowiły swego rodzaju zasłonę, ścianę. Jeśli pomyślisz o

niej, przelej w te myśli tak wiele miłości jak tylko zdołasz. Teraz nie ma czasu na wyjaśnianie wszystkiego, ale wierzę, że myśl ma także swój wymiar materialny, a nie tylko duchowy. Wysoki stopień koncentracji umysłu pozwala osiągnąć fazę materializacji każdej z myśli. I taki właśnie efekt powinniśmy osiągnąć. To niewiele, a zarazem wszystko, czym będziemy fizycznie dysponować przeciw Imhotepowi.

Frank gwałtownie zatrzymał się w wejściu.

— Imhotep! — wykrzyknął.

— Sądziłem, że domyślisz się wreszcie — spokojnie odparł Muller. — Jest nim Ardath Bey. I właśnie dlatego policja nie może dostarczyć o nim żadnych informacji. On po prostu nie istnieje — przynajmniej nie w naszym czasie, Ardath Bey jest żyjącym korpusem sprzed trzech tysięcy lat, ożywionym dzięki Zwojowi Tota, Frank. Czy nie przeraża Cię to?

Frank potakująco, niespiesznie skinął głową, jego twarz poszarzała.

— Boże, to niemożliwe!

— Straszne — zgodził się Muller — ale nie niemożliwe.

— Co on zamierza zrobić z Heleną?

— Powiem ci w samochodzie. Teraz już zostało dokładnie tyle czasu, ile potrzebuję. Ale nie możemy spóźnić się choćby o minutę.

* * *

Nawet nie zmuszał jej. Dała się przekonać i nakłonić. Zdawało mu się to trudne do osiągnięcia, a jednak udało się bez trudu. Była jego, kochała teraz, nawet tą samą miłością, była właściwie prawie tą samą istotą jak we wcześniejszej inkarnacji. Tą samą, którą uczył, której przewodził... Czyż nie nauczył jej, że potęga miłości jest największą z potęg we wszechświecie? Pokazał jej co traci żyjąc w świecie bez miłości. Jakże mogłaby wybrać życie w tym świecie maszyn, w świecie pozbawionym magii, nad życie w prawdziwie ludzkim świecie, jaki przecież już poznała? To było niemożliwe by ktokolwiek — a najmniej Anche-senamon — mógł czuć się szczęśliwy w świecie, w którym ludzie utracili bezpośredni, namacalny związek z bogami i przestali się troszczyć o boską moc swych dusz. Świat ten wydawał się nieprzyjazny, chociaż swą wiedzę o nim czerpał przez zaledwie jedenaście lat. Czuł się w nim całkowicie wydarty ze swego czasu. Z trudem przyswajał nowe, obce sobie języki i co krok miał do czynienia z głupotą ludzi. Whemple, na przykład, zamierzał po prostu zniszczyć to, czego nie był w stanie zrozumieć. Albo syn Whemple'a, któremu zdawało się, że pożądanie ciała wybranej kobiety jest już miłością i w swoim przekonaniu próbował stanąć na drodze prawdziwej miłości, która oparła się upływowi stuleci. I nie zgasła mimo cierpienia. Zamierzał pokazać jej, jak dla niej cierpiał. Musiał jednak odrzeć Helenę Grosvenor z jej obecnej duszy i dotrzeć do tej prawdziwej, ukrytej głęboko. Do duszy Anchesenamon. Ale gdyby dziewczyna poczuła, że znowu ktoś usiłuje ją zdominować, jej trywialne uczucie do chłopaka mogłoby stanąć na przeszkodzie ich ponownemu połączeniu, podobnie jak owad-intruz jest w stanie zakłócić działanie najdelikatniejszego i najbardziej precyzyjnego przyrządu.

Powoli zmieniła pozycję na łożu. Skierował ku niej lustro tak, by mogła oglądać to, co zamierzał jej pokazać.

— Chciałbym, żebyś się dowiedziała jak cierpiałem dla ciebie. Jeśli to cierpienie stanie się naszym wspólnym, nasz związek będzie jeszcze mocniejszy.

— Nie chcę patrzeć, jak cierpisz, Imhotepie.

Skinął głową ze zrozumieniem.

— Wiem. Lecz powinnaś. Ja też muszę przeżyć ponownie ten koszmar wspólnie z tobą. Spójrz teraz w lustro.

Zamknął oczy, koncentrując się na sformowaniu obrazów, które zamierzał wywołać z pamięci. Jako pierwsza pojawiła się w zwierciadle scena sądu.

Eje siedział na tronie, na głowie miał biało-czerwoną koronę dwojga Egipców i berło w

dłoni. Imhotep stał przed faraonem, otoczony przez strażników, a parę kroków przed nim na marmurowej posadzce leżał Zwój Tota — dowód jego winy. Faraon Eje wskazał berłem w jego stronę. Imhotep wyprostował się dumnie i skrzyżował dłonie na piersi. Oczekiwał na sentencję wyroku. Przypomniawszy sobie pełen goryczy wyraz twarzy Eje; wyraz twarzy zdradzonego króla, zdradzonego dobroczyńcy. Eje patrzył na niego jak na trzykrotnego zdrajcę: jak na świętokradcę, który zdradził swój urząd kapłański, na niewdzięcznika, który zdradził tego, który mu zaufał i jak na cudzołózcę, który dopuścił się przestępstwa przeciw swemu panu. I rozumiał w pełni, że faraon nie miał innego wyboru. Dlatego wyrok przyjął ze spokojem.

— Skazał mnie na bezimienną śmierć, Anchesenamón. Rozkazał, by Zwój Tota pogrzebano wraz ze mną tak, by już nigdy nie mógł stać się przedmiotem świętokradztwa. A teraz to...

Pokazał jej antropoidalnego kształtu trumnę, pokazał jak z jej wieka zeszlifowywano święte formuły mające zapewnić duszy ochronę w jej drodze w zaświaty.

— Tym samym moja dusza miała po wsze czasy zostać związana z ciałem. I dlatego żyłem tylko raz, tylko jednym życiem. Ty żyłaś po wielokroć, Anchesenamón, a mnie pozbawiono tego przywileju każdego człowieka. Zostałem poddany zabalsamowaniu, by moje ciało pozostało nietknięte przez rozkład po wieczność, ale odebrano mi możliwość ponownych narodzin.

Przerwał, koncentrując się jeszcze bardziej na sprawiających, mu ból wizjach. Oddychał z trudem, kiedy odtwarzał poszczególne sceny. Biegli w swej sztuce mistrzowie mumifikacji owinęli go bandażami, rozpoczynając od stóp. Warstwa po warstwie, owijali ciało impregnowanymi zwojami. Czuła jak bandażę zaczynają ścisnąć go coraz bardziej. Najpierw ścisnęły nogi, potem ramiona, które szczelnie przywarły do tułowia, aż wreszcie dotarły do głowy, w jednym momencie odcinając mu dopływ powietrza. Próbował jeszcze walczyć ze śmiercią przez uduszenie; konwulsyjnie, na tyle na ile był w stanie, wykręcał ciało, by chłonać jeszcze chociaż jeden, jedyny łyk życiodajnej substancji. Ale już wkrótce wszelkie rozstępy między warstwami bandaży zostały szczelnie zakryte i nie miał czym oddychać. Jego usta stały się suche. Jego płuca zaczęły gwałtownie puchnąć, jego gardło płonęło, ciśnienie w uszach ogłuszyło go, cała krew napłynęła do twarzy. Wydawał z siebie ostatnie tchnienie. Konał...

— Pochowano mnie w grobie pozbawionym jakichkolwiek inskrypcji, nawet z moim imieniem. Ci, którzy bezpośrednio składali mnie do tego grobu zostali zabici, by nie przeżył żaden świadek mogący wskazać miejsce mego pochówku. Uśmierceni zostali nawet żołnierze, którzy ich zabijali. Miało to zapobiec odnalezieniu grobu przez moich przyjaciół i ewentualności nowego, z pełnym rytuałem, pochówku. A przede wszystkim miało zapobiec odnalezieniu Zwoju Tota. Przez kogokolwiek i kiedykolwiek. I pozostał ukryty przed wzrokiem ludzkim przez ponad trzy tysiące lat, przez czas równie odległy od dzisiejszego jak nasz czas, Anchesenamón, odległy był od początku świata. O reszcie już wiesz.

— Mój kochany — wyszeptwała, wyciągając ku niemu ramiona. Zobaczył, że do jej oczu napłynęły łzy. Chciał już podejść do niej by wziąć ją w ramiona, ale cofnął się o krok. Dostrzegł wyraz bólu na jej twarzy.

— Nie. Jeszcze nie. Twoje ciało odżywało wielokrotnie. Moje nie.

— Nie rozumiem, kochany.

— Twoja dusza — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Twoja dusza jest w tym ciele. Ono nie należy do tamtego świata. Ono należy do tego. Przynależy tutaj. — Odszedł na bok i po chwili wrócił taszcząc ze sobą antropoidalną trumnę i ułożył ją u swych stóp. — Przynależy tutaj.

Zauważyła wizerunek Anchesenamón wyrzeźbiony na wieku. Na jej twarzy pojawił się naraz strach przemieszany z niepewnością.

— Wewnątrz znajduje się szkielet — wyjaśnił łagodnym głosem. — Tylko szkielet.

Próbowałem wówczas wlać życie w te szczątki, mogę zrobić to teraz. Lecz byłby to tylko poruszający się korpus pozbawiony duszy.

Przystąpił do wyciągania mumii ze środka. Przerwał na krótko i powiedział:

— Kochałem nie tylko to ciało. Była w nim dusza, twoja dusza, Anchesenamón.

Imhotep uniósł do góry lampę naftową i zdjął z niej alabastrowy klosz. Nagły dopływ powietrza spowodował, że knot gwałtownie rozbłysł a na przeciwległej ścianie wykwitły naraz niespokojne cienie.

— Będzie bezpieczniej, jeżeli te pozbawione życia szczątki zostaną zniszczone. Lecz już po kilku chwilach, moja kochana, twoja prawdziwa dusza zajmie miejsce w twoim ciele. Odrodzisz się na nowo i staniesz się nieśmiertelna po wieczność tak, jak wolny od śmierci stałem się ja.

Przysunął płomień do stóp mumii. W kilka sekund później przyglądał się jak wysuszone ciało płonęło.

Potem odwrócił się w stronę drzwi prowadzących do sali, w której były eksponowane wszelkie przedmioty związane z mumifikacją. I dał jej znak, by podążyła za nim.

* * *

Frank Whemple prowadził samochód prawie instynktownie; jego myśli zapełniła Helena. I chociaż kochał ją bardzo, czuł, że nieustanne, intensywne myślenie o niej wcale nie jest prostym zadaniem. Coś jakby interferowało z jego myślami, jakby blokowało w umyśle jej wyobrażenie. Początkowo starał się myśleć o niej tak, jakby obserwował ją ciągle jakimś wewnętrznym okiem, jakby spoglądał na jej zdjęcie przypięte do ściany. Ale ten obraz szybko rozplątywał się gdzieś. Następnie próbował myśleć o Helenie bardziej abstrakcyjnie, myślał o swej miłości do niej, o tym jak ona bardzo go teraz potrzebuje. Lecz jedynym co naprawdę udawało mu się utrwalić w wyobraźni na dłużej było po prostu słowo MIŁOŚĆ wypisane złotymi literami. Nic więcej nie udawało mu się osiągnąć. Czuł, że zupełnie zawodzi go wyobraźnia, czuł, że jest bardziej szarlatanem wyobraźni, niż jej panem. Ale czy to wynik jej zaniku, czy też jego nadmiernych emocji?

Próbował więc odtworzyć niektóre sceny z minionych dni. Próbował przypomnieć sobie Helenę leżącą na łożu w sypialni i jej nieśmiałość. A także scenę z samochodu, z pierwszej nocy ich znajomości, kiedy Helena siedziała na tym samym miejscu, które teraz zajmował Muller. Następnie lunch w restauracji, gdy po raz pierwszy dostrzegł oznaki jej choroby. Przypomniawszy sobie nawet, że Helena powiedziała wówczas coś, co dotyczyło przeszłości, ale zupełnie nie pamiętał co to było. Inne chwile i inne sceny przebiegały przez jego umysł pośpiesznie. Niektóre z nich wywoływały w nim ból... Czy może właśnie dlatego z takim trudem przychodziło mu myślenie o dziewczynie? Czy dlatego, że wspomnienia związane z nią były bolesne, przydawały mu cierpienia? A może dlatego, że ich miłość, o czym mówił Muller, tak naprawdę nigdy nie była prawdziwa i nigdy nie była niczym więcej, jak tylko jego pobożnym życzeniem. Nie widział już innych przyczyn, które blokowałyby jego wyobraźnię.

— Wierzysz w reinkarnację?

Pytanie wyrwało Franka z zamyślenia.

— W co?

— W wielu kulturach reinkarnacja stanowi dogmat religijny — powiedział Muller. — Także u starożytnych Egipcjan. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek myślałeś o tym?

— Nie, właściwie nigdy. Ale dlaczego?

— Pytałeś mnie dlaczego, moim zdaniem, Imhotep-Ardath Bey jest zainteresowany Heleną. Powiem ci, lecz możesz doznać szoku.

— Po tych wszystkich minionych dniach, nic już chyba nie jest w stanie mnie zaszokować.

— Dobrze. Powinieneś doznać wstrząsu, zanim przekroczyliśmy próg muzeum. Wątpię,

czy Helena, którą tam zastaniesz, pozna cię. W pewnym sensie nawet wcale jej tam nie będzie.

— Ale przecież mówił pan, doktorze... To dlaczego w ogóle tam jedziemy?

— Żeby przenieść ją z powrotem stamtąd, gdzie znajduje się naprawdę. Pozwól, że będę opowiadał ci słowami i pojęciami, które byłyby do zaakceptowania przez twego ojca. Po to, by się nadmiernie nie rozwodzić. Przyjmijmy, że Egipcjanin zwany Ardathem Beyem zyskał hipnotyczny wpływ na Helenę. I nie ma w tym nawet niczego z okultyzmu. To jest nawet dosyć dobrze znany fenomen, chociaż nikt, jak dotąd, nie wie, jak go wyjaśnić. Załóżmy dalej, że ten człowiek zasugerował Helenie, iż nie jest naprawdę Heleną Grosvenor, tylko inkarnacją Anchesenamona, i królowej z okresu Osiemnastej Dynastii. I to, że sam i Ardath Bey jest kapłanem z Karnaku z tegoż samego czasu. Spróbuj, Frank, wyobrazić sobie ich w scenarii z autentycznej Osiemnastej Dynastii. Jak Helena będzie się zachowywała?

— Nie mam pojęcia. Jak w ogóle mogliby trafić w świat Osiemnastej Dynastii? Nie sugeruje pan chyba, że odbyli coś w rodzaju podróży w czasie? Nie wierzę w najmniejszym stopniu w tego typu pomysły...

— Nie — przerwał Muller. — Powiedziałem przecież, że w miejsce jak najbardziej autentyczne, człowieku!

— O Boże! Tak! Muzeum. Galeria Anchesenamona!

— Właśnie. Była zresztą bardzo sugestywna w swoim zachowaniu. W każdym calu zachowywała się tak jakby naprawdę była królową, wdową po Tutanchamonie, a nie dziewczyną z dwudziestego wieku. Jeśli dotąd nie udało ci się rozpoznać z kim Helena się identyfikuje, teraz już wiesz, Frank. Czy zgadzasz się ze mną?

— Chyba nie... Opowiedział pan o tym, co się jedynie mogło wydarzyć. Dlaczego więc ona jest w niebezpieczeństwie?

— To co opowiedziałem dotąd, to tylko część tego, co się zdarzyło — ale nie wszystko. Frank, chcę cię uprzedzić, że najprawdopodobniej zobaczysz dzisiaj wieczorem Helenę, jakiej w ogóle nie znasz. Chcę cię przygotować na ten widok. Na resztę, niestety, nie jestem w stanie. Dzisiaj wieczorem nastąpi moment krytyczny, swoistego zlania się w jeden strumień rozmaitych zdarzeń mających miejsce w ciągu jedenastu minionych lat. Tak, jedenastu lat. To wszystko rozpoczęło się wówczas, kiedy wydobyta została mumia. Powiedziałem już, że staram się snuć przed tobą jak najmniej hipotez. Ale to minimum jednak nie jest w stanie wyjaśnić wszelkich zdarzeń. Doktora Freuda nie musi być z nami tej nocy, Frank. Ale powinniśmy przyjąć za pewnik, że Ardath Bey i Imhotep to jeden i ten sam człowiek. Nie, myślę się... Nie człowiek... To jedno i to samo coś. Monstrum.

Wierzę także — wybac mi, że znowu sprawiam ci ból — że Helena Grosvenor jest reinkarnacją Anchesenamona i że teraz właśnie powraca do swego pierwotnego wcielenia. Helena, którą znasz, już nie istnieje w tym momencie, ale wierzę, że transformacja, którą przeszła nie jest nieodwracalna. Jeśli możliwe jest jeszcze ponowne złączenie waszych dwóch osobowości, obawiam się, że będzie to możliwe tylko i wyłącznie dzięki twojej miłości do Heleny. Trudno ci w to uwierzyć? Jemu nie. On użył tej samej broni, której powinniśmy użyć my, by zabrać Helenę od niego. I pamiętaj, Frank, on ma przewagę. On już udowodnił swą miłość, cierpiał dla niej, umarł dla niej. Trzydzieści stuleci, jakie przeminęły nie wymazało tego uczucia. Chcę, żebyś wiedział przeciw jakiej mocy stajemy.

W głosie Franka zabrzmiał ton desperacji.

— Ja nie mogę się z nim zmierzyć, Muller. Nawet nie powinienem myśleć o tym. — Jego dłonie spoczywające na kierownicy stały się naraz przeraźliwie białe.

— Cieszę się, że przynajmniej jesteś uczciwy, Frank, mówiąc o swoich odczuciach — stwierdził Muller. — To jest wartość, którą Helena bardzo ceni. To może nam dać pewną przewagę. To — i jeszcze coś.

— Cóż jeszcze, na Boga?

— Wasza młodość. Twoja i jej.

* * *

Coś w tym pomieszczeniu ją zaniepokoiło. Rozpoznała jego przeznaczenie, rozpoznała natychmiast, kiedy się w nim znalazła. Poczowała się źle, chociaż nie była jeszcze w stanie zrozumieć dlaczego. Królował tu Anubis. Bóg o głowie szakala umieszczony był przed kamienną płytą, na której dokonywano mumifikowania. Miał być przewodnikiem dusz zmarłych w ich drodze do podziemnego świata. W prawej dłoni trzymał krzyż anch; w lewej laskę o długości równej swemu wzrostowi, którą kierował zmarłych na właściwą ścieżkę w zaświaty. Po przeciwległej stronie pomieszczenia służący Nubijczyk pracował intensywnie, przygotowując kąpiel z sody. Powietrze było przesycone chemicznymi oparami, które wciskały się w gardło.

Obserwowała przygotowania do balsamowania i właśnie to napełniało ją niepokojem. Krzemienisty nóż do rytualnego nacięcia leżał już gotowy na niskim kamiennym stole, obok którego wznosił się stos płóciennych bandaży. Naprzeciw drzwi znajdował się posąg Izydy, także trzymającej krzyż anch w prawej ręce i grzechotkę w lewej. Na głowie miała hełm z rogami, a między nimi umieszczony owal symbolizujący Księżyc. Ale żadne ciało nie spoczywało na kamiennej płycie w oczekiwaniu na mumifikację... Wgłębienia w płycie na tułów i głowę były puste. Dlaczego Imhotep przyprowadził ją tutaj? Królowej Egiptu jako kapłance Izydy zakazane było oglądanie i dotykanie wszelkich rzeczy nieczystych, a on, jak się zdawało, chciał uczynić ją świadkiem balsamowania.

Odwróciła się z zamiarem wyjścia z pomieszczenia, ale Imhotep przytrzymał ją za ramię.

— Podejdz do ołtarza Anubisa — nakazał. — Nadszedł czas na ostateczną modlitwę.

— Nie powinnam oglądać tego wszystkiego — odparła. — Nie mogę tu zostać.

— Właśnie ty powinnaś, najbardziej ze wszystkich — stwierdził stanowczo Imhotep.

Wyswobodziła ramię z jego uścisku.

— Co mam robić przed obliczem Anubisa?

Poczowała, że wokół niej dzieje się coś niedobrego. Jego zachowanie też wydało się jej niewłaściwe; zachowywał się w sposób nietypowy dla siebie. Zawsze był łagodny, odnosił się do niej z respektem. I nagle stał się wręcz prostacki, traktując ją niczym swoją niewolnicę. Dlaczego? Jeśli obawiała się uczestniczenia w obrzędzie balsamowania, powinno mu to wystarczyć i nie powinien więcej nalegać. Ale on chwycił ją ponownie za ramię, jeszcze brutalniej niż poprzednio, zostawiając ślad na skórze, poniżej rękawa sukni — rozległe, krwawe zsinienie. Dotknęła tego miejsca palcami, oczekując zarazem bólu, ale ból wcale się nie pojawił. I w mgnieniu oka ten krwisty ślad rozmył się gdzieś, znikając niczym kurz osiadający na skórze.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzawszy na jego twarz dostrzegła w niej śmierć. Ten mężczyzna nie był jej kochankiem, ale jakimś odmieńcem — kimś, kogo nie poznawała. Jego skóra zdawała się jej teraz całkiem przezroczysta, jak podświetlony papirus. Jego oczy były niczym lampy. Lecz jak lampy bez lustra odbijającego światło. Były bez życia. Jarzyły się zaledwie.

Niczym świeczki wewnątrz pustej czaszki.

Zaczęła cofać się, chcąc uciec od niego.

* * *

Nubijczyk położył ją na płycie do mumifikacji, układając w gładkim, kamiennym wgłębieniu. Wtedy Imhotep stanął nad nią i poczuła, jak niestawiający dotąd oporu, lodowaty kamień zaczął naraz silnie przywierać do jej pleców.

— Dlaczego patrzysz na mnie ze strachem? — odezwał się.

— Ponieważ chcesz mojej śmierci, a ja nie jestem jeszcze na nią przygotowana. To nie

jest miłość, Imhotepie. Uczyłeś mnie przecież czym jest prawdziwa miłość i ucząc mnie, nigdy nie mówiłeś o czymś, co teraz robisz.

Za plecami Imhotepa dostrzegła Nubijczyka ciągle mieszającego w kadzi z sodą. Zadrżała.

— Czy sądzisz, moja jedyna, że z lekkim sercem przyjmuję twą śmierć? — zapytał Imhotep. — Czy myślisz, że nie porusza mnie widok twojej naznaczonej cierpieniem twarzy? Ja się nie zmieniłem, Anchesenamon. Jeśli coś się zmieniło, dotyczy to tylko ciebie. Ta dziewczyna, w której ciele przebywasz teraz, czuje lęk przed śmiercią, ponieważ nie rozumie istoty miłości po wieczność. Masz rację. Nauczyłem cię miłości i tego, jak należy ją rozumieć. Tym co chcę ci teraz zaoferować jest miłość, która nigdy nie będzie miała kresu. Chcę ci dać wieczne życie. To będzie tylko chwila, kiedy poczujesz ból. Potem, zgodnie z Wielką Modlitwą, którą wypowiedziała Izyda wskrzeszając Ozyrysa, przywrócę cię do życia: do życia, które będziesz dzieliła ze mną na zawsze. Czy jest to tak przerażająca wizja, że nie możesz oddać się jej już teraz?

Przepełniona niepewnością, spróbowała poruszyć głową, ale wgłębienie, w którym spoczywała ograniczało możliwość poruszania się.

— Nie wiem — wyszeptała.

— Nie wierzysz mi? Zwój Tota ma moc wskrzeszenia ciebie. Czy w nią wątpisz?

— Nie chcę umierać... w ten sposób. Jest w tym coś złego, Imhotepie. Czuję się źle, dziwnie. Nie wiem, jak ci to objaśnić. Tak, jestem Anchesenamon. Lecz także jeszcze kimś innym, kimś kto żyje i chce nadal pozostać żywym w swym świeżym, młodym ciele. Chcę żyć w tym ciele tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Nie chcę, by zostało teraz zanurzone w kadzi z sodą.

Westchnął głęboko.

— Z miłości do ciebie zostałem pogrzebany żywcem. Nie żałuję tego. Wszystko o co cię proszę to tylko jeden krótkotrwały moment bólu i tylko dlatego, że oznacza on nasze bliskie już połączenie. Uważasz, że martwego nie można przywrócić do życia. Masz rację, nie jest to możliwe. Gdybym mógł powrócić do mego śmiertelnego ciała, zrobiłbym to natychmiast, ale to jest niemożliwe. Można to osiągnąć tylko w jeden, jedyny sposób. W ten właśnie. Czy chcesz może zaprzeczyć?

— Powiedziałeś to tak, jakby moja śmierć miała być obowiązkiem, a nie aktem miłości, Imhotepie. Moim obowiązkiem jest żyć.

Imhotep uniósł krzemienisty nóż.

— Nie przypuszczałem, że będziesz chciała uciec przed przeznaczeniem — powiedział i usłyszała ton rozczarowania, a zarazem desperacji w jego głosie.

— Och, Imhotepie. Musi być inna droga. Śmierć może rozdzieliła nas, ale ja ciągle kocham wspomnienie ciebie takiego, jakim byłeś wówczas. Zabijając mnie, możesz tylko zniszczyć tę pamięć.

— Nie zmieniłem się od czasu kiedy mnie znałaś, Anchesenamon. Natychmiast jak tylko dokonasz Wielkiej Przemiany, rozpoznam cię znowu. Będzie tak, jak było przedtem.

Żeby powstrzymać jej dalszy protest, wysunął się z cienia, w którym dotąd stał i uniósł wyżej ramię. W świetle dostrzegła błysk ostrza noża. Zaczęła się modlić...

* * *

Całe muzeum było pogrążone w ciemnościach. Dostali się do środka przez to samo okno na parterze, w którym zostały rozcięte kraty i przez które wcześniej dostał się do wnętrza Ardath Bey. I obaj starali się zlokalizować w tych ciemnościach skrzydło Osiemnastej Dynastii. Ale ciemności zakłócały ich zmysł kierunku. Frank próbował rozświetlić drogę zapawkami, ale gasły szybko. Zużył już prawie wszystkie pudełka.

— Ile jeszcze ich zostało? — spytał Muller.

— Dwa lub trzy — kiedy odpowiadał zapłonęło naraz pudełko, które trzymał w palcach. Cisnął je przed siebie i przeklinając, sięgnął po następne.

— Cholera, Muller, zdaje się, że już jesteśmy blisko celu.

— Jeszcze nie tak blisko by pomóc Helenie — odparł doktor. — Przeczuwam, że już się spóźniliśmy i to był mój błąd.

— O tym czyj to błąd, zdecydujemy później. Którędy powinniśmy się stąd wydostać?

— Musimy przejść przez galerię Ramzesa, a następnie w górę schodami. — Frank pierwszy ruszył do przodu i wyprzedził doktora w ciemnym korytarzu, ale po kilku krokach poczuł, że Muller ciągnie go chcąc zatrzymać.

— Frank, pozwól, że pójde tam sam. Jestem starym człowiekiem. On już nie może zagrozić mi niczym, co miałyby dla mnie większe znaczenie.

— Niech pan puści moją marynarkę, Muller. Tylko tracimy czas.

— W porządku. Jesteś w końcu synem swego ojca. Powiniennem wiedzieć...

Zapałka w groteskowy sposób rzucała światłocien na eksponaty, kiedy przemierzali galerię Ramzesa; głowy posągów zdawały się wyrastać aż do sklepienia, sali, stelle swoim poszerzonym nagle cieniem sprawiały wrażenie, że wypełniają całą ścianę. W jednym miejscu trafili naraz na przestrzeń oświetloną przez wpadające przez jedno z wielkich okien światło księżyca tak, że bez trudu udało im się pokonać kilkanaście jardów, zanim znowu pograżyli się w zupełnym mroku korytarza. Akurat zgasła ostatnia zapałka gdy osiągnęli schody prowadzące prosto do galerii Anchesenamon. Muller zmagął się z dusznością, ale kiedy Frank położył mu dłoń na ramieniu, by przystanął na moment i odpoczął, odepchnął ją zdecydowanie.

— Powiedziałem ci już, Frank, że jestem bliski kresu — rzucił nerwowo Muller. — Idź do przodu, jeśli musisz. Ja tylko chwilę...

Przerwał raptownie. Nagle jaskrawy błysk światła spływający z wierzchołka schodów oślepił ich obu na moment. Jakby bez ostrzeżenia przebiegła nad nimi błyskawica.

— Co to było? Czyżby błysk flesza?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, Muller zaczął wspinać się do góry.

* * *

Ku posągowi Izydy odwróciła się w ostatniej chwili, kiedy rytualny nóż zakreślał już luk opadając ku dołowi, by zadać cios. I w błagalnym geście rozłożyła ramiona.

— O Izydo, Święta Dziewico, byłam poświęconą tobie westalką...

Imhotep zachwiał się usłyszawszy jej słowa.

— Anchesenamon, proszę...

— Błagam cię teraz, pani. Naucz mnie, błagam, starożytnej formuły, świętej modlitwy, która mogłaby ocalić mnie w tej godzinie potrzeby...

Wykrzyknął.

— Anchesenamon! Nie!

— ...Sehotpe ibre Mem-mosut Sit-sekhem!

Imhotep patrzył przerażony i sparaliżowany, jak prawe ramię bogini zaczęło wysuwać się do przodu, powoli, wraz z trzymanym w dłoni krzyżem anch ukształtowanym na podobieństwo hieroglifu, którym oznaczano w Egipcie wieczność. Zbliżał się ku niemu...

* * *

Kiedy dobiegli do niej, straciła przytomność. Frank delikatnie wziął ją w ramiona i rozplakał się, nie wstydząc się tego ani nie próbując się powstrzymać.

Muller przyłożył ucho do jej piersi.

— Żyje. Wezwij ją, Frank. Na Boga, jeśli ją kochasz sprowadź ją z powrotem.

— Nie wiem jak to zrobić. Heleno, Heleno, kochana. To ja, Frank. Już jest po wszy-

stkim, kochanie. Jesteś już bezpieczna, moja najdroższa. — Zdesperowany, prawie bez nadziei, zaczął potrząsać nią.

— Boże. Nie mogę. Muller, nie mogę. Ona nie odpowiada.

— Próbuj dalej. Niczego innego nie możemy już zrobić.

I właśnie w tym momencie Frank poczuł ciepło jej ciała przy swoim. Już wiedział, że jego miłość zwyciężyła. Ta świadomość aż ścisnęła mu gardło. Poczuł gorzkość na wargach.

— Dzięki bogu — stwierdził głośno Muller, ale zaraz potem poczuł się zakłopotany, uznawszy, że jego słowa nie mają sensu.

Frank cały czas trzymał Helenę w ramionach i spojrzał na nią przez łzy dopiero wtedy, gdy poczuł, że dziewczyna mocniej obejmuje go za szyję. Otworzyła oczy, a jej oddech stał się intensywniejszy. Ale kątem oka dostrzegł jeszcze coś innego. Na podłodze leżały rozkładające się ludzkie szczątki. Głowa była oddzielona od korpusu i oddzielnie leżało jedno z ramion. Odsłonięte matowo-białe kości spoczywały w warstwie pomarszczonej i spękanej skóry. Nie było żadnych wątpliwości, że były to szczątki człowieka zmarłego bardzo dawno temu.

— Moja kochana — wyszeptał Frank, przysuwając policzek do jej twarzy. — Heleno, Heleno.

— Tutanchamonie — odparła, ale kiedy on szarpnął się gwałtownie, niczym oparzony, coś jakby zmiękło w niej i za chwilę już zawołała do niego: „Frank”.

I w jej oczach pojawił się błysk uśmiechu.